

Françoise Sagan

Witaj, smutku

(Przełożyły: Anna Gostyńska i Jadwiga Olędzka)

*Żegnaj mi smutku
Dzień dobry smutku
To ty wpisany w kwadrat sufitu
To ty wpisany w najdroższe oczy
Nie jesteś niedolą jedynie
Jeżeli cię wargi zgnębionych
Głoszą uśmiechem
Dzień dobry smutku
Kochanku ciało powabnych
Dominanta miłości
Której urok urasta
Jak bezcielesny potwór
Głowa z nadziei wyzuta
Smutku o pięknej twarzy.*

P. ELUARD

[Le vie immédiate]

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Waham się nazwać pięknym, poważnym słowem "smutek", to obce mi dotąd uczucie, którego łagodna, bolesna gorycz dręczy mnie nieustannie. Jest ono tak wyłączone, tak egoistyczne, że nieomal wstydy się go, a uczucie smutku wydawało mi się przecież zawsze godne szacunku. Nie znałam go do niedawna. Znałam raczej nudę, żal, rzadziej wyrzuty sumienia. Teraz coś jak gdyby rozsnuwa się wokół mnie, niby miękka, denerwująca jedwabna zasłona, i oddziela mnie od innych.

Tamtego lata miałam siedemnaście lat i czułam się zupełnie szczęśliwa. Ci "inni" to był mój ojciec i Elza, jego kochanka. Muszę od razu wyjaśnić sytuację, która może wydawać się fałszywa. Ojciec przekroczył właśnie czterdziestkę i był wdowcem od piętnastu lat. Był to człowiek młody jeszcze, pełen żywotności, o dużych możliwościach. Gdy dwa lata temu, po ukończeniu szkoły, wróciłam do domu, nietrudno mi było zrozumieć, że ojciec ma kochankę. O wiele trudniej było pogodzić się z tym, że zmieniał je co pół roku. Lecz niebawem i do tego przywykłam: urok osobisty ojca, nowy i łatwy tryb życia i moje własne skłonności wpłynęły na to w niemałym stopniu. Był to człowiek lekkomyślny, zdolny do interesów, zawsze wszystkiego ciekaw i szybko się wszystkim nużący, z dużym powodzeniem u kobiet. Łatwo mi było kochać go, i to czule, bo był dobry, wspaniałomyślny, wesoły i miał dla mnie dużo uczucia. Nie wyobrażam sobie lepszego i bardziej zajmującego przyjaciela. W początkach owego lata był nawet aż tak delikatny, że zapytał mnie, czy nie mam nic przeciwko temu, by spędzić wakacje z jego obecną kochanką, Elzą. Ze swej strony mogłam tylko namawiać go do tego, gdyż wiedziałam, że nie może żyć bez kobiety i że zresztą Elza nie będzie nam przeszkadzała. Była to duża, ruda dziewczyna, trochę prymitywna i jednocześnie pozująca na damę, która statystowała w kabaretach i w barach na Champs-Élysées. Była sympatyczna, dość prosta i bez specjalnych pretensji. Zresztą za bardzo cieszyliśmy się z ojcem na ten wyjazd, by stwarzać sobie jakieś przeszkody.

Ojciec wynajął na Riwierze dużą, białą, śliczną willę, o której marzyliśmy od pierwszych ciepłych dni czerwca. Stała ona na cyplu górującym nad morzem, a sosnowy lasek zasłaniał ją od drogi. Wąska ścieżka biegła w dół do małej, złotawej zatoczki, otoczonej brunatnymi skałami, o które rozbijały się fale morskie.

Pierwsze dni były zachwycające. Spędzaliśmy na plaży całe godziny, obezwładnieni upałem, a ciała nasze nabierały stopniowo zdrowego, złotego koloru. Tylko Elza opalała się na czerwono i obłaziła boleśnie ze skóry. Ojciec, robiąc skomplikowane ruchy nogami, usiłował pozbyć się zaczątków brzuszka, tak nie licujących z jego usposobieniem Don Juana. Od świtu kąpałam się w morzu. Woda była przezroczysta i świeża. Zanurzałam się w niej i pławiałam wykonując szereg nieskoordynowanych ruchów, aby zmyć z siebie wszelkie ślady i cały kurz Paryża. Wyciągałam się jak długa na plaży, brałam w rękę garść piasku, i pozwalałam mu przeciekać przez palce żółtawym, łagodnym strumieniem. "Ucieka jak czas – mówiłam sobie. – Jaka prosta myśl! Jak przyjemnie jest mieć nieskomplikowane myśli". Było przecież lato.

Szóstego dnia pobytu zobaczyłam po raz pierwszy Cyryla. Płynął małą żaglówką wzdłuż wybrzeża i wyrócił się właśnie przed naszą zatoczką. Pomogłam mu się pozbierać. Zaśmiewaliśmy się oboje i powiedział mi, że

ma na imię Cyryl, że jest studentem prawa i spędza wakacje w sąsiedniej willi, z matką. Miał smagłą szczerą twarz południowca, w której było coś zrównoważonego i opiekuńczego, co mi się podobało. Zazwyczaj unikałam studentów. Byli brutalni, zajęci tylko sobą, a zwłaszcza swoją młodością, znajdując w niej zawsze temat do dramatu lub pretekst do nudy. Nie lubiłam młodzieży. O wiele bardziej interesowali mnie przyjaciele ojca, mężczyźni pod czterdziestkę, którzy prawili mi komplementy i słodkie słówka i okazywali czułość ojca i czułość kochanka.

Ale Cyryl mi się podobał. Był wysoki i chwilami piękny tą urodą, która budzi zaufanie. Chociaż nie podzielałam niechęci mego ojca do brzydoty, co często skłaniało nas do przestawiania z ludźmi ograniczonymi, odczuwałam wobec osób zupełnie pozbawionych fizycznego wdzięku pewien rodzaj zażenowania, niepokoju. Ich rezygnacja z chęci podobania się wydawała mi się jakąś nieprzyzwoitą ułomnością. Bo czegoż innego chcieliśmy niż podobać się? Do dziś nie wiem, czy ta chęć powodzenia kryje w sobie nadmiar sił żywotnych, pragnienie zaborczości czy też potajemną niewypowiedzianą potrzebę upewnienia się o własnej wartości, uznania dla samego siebie.

Cyryl odjeżdżając zaproponował mi, że nauczy mnie żeglować. Wróciłam na kolację tak zajęta myślą o nim, że prawie nie brałam udziału w rozmowie. Zaledwie zauważyłam zdenerwowanie ojca. Po kolacji wyciągnęliśmy się jak co wieczór w fotelach na tarasie. Niebo było usiane gwiazdami. Wpatrywałam się w nie z cichą nadzieją, że już teraz – przed czasem – zaczną spadać, tworząc świetliste smugi. Ale był dopiero początek lipca i gwiazdy tkwiły nieruchomo w górze. W żwirze pokrywającym taras śpiewały koniki polne. Było ich chyba tysiące. Pijane księżycem i upałem, wydawały te dziwne dźwięki po całych nocach. Wytłumaczono mi kiedyś, że pocierają tylko o siebie skrzydełka, ale ja wolałam wierzyć, iż ów śpiew dobywa się z ich gardziołek, podobnie jak instynktowne miauczenie kotów w marcu. Było nam dobrze. Tylko drobne ziarenka piasku, które dostały się pod bluzkę, nie pozwalały mi zapaść w słodką drzemkę. Wtedy właśnie ojciec chrząknął i wyprostował się na leżaku.

– Mam dla was nowinę. Przyjedzie nowy gość – powiedział.

Z rozpaczą przymknęłam oczy. Za dobrze nam było, za spokojnie, to nie mogło długo trwać!

– Kto? Powiedz prędko! – krzyknęła Elza, zawsze żądna nowin z wielkiego świata.

– Anna Larsen – powiedział ojciec i odwrócił się do mnie.

Patrzyłam na niego, zbyt zdziwiona, by zareagować na tę wiadomość.

– Prosiłem ją, żeby przyjechała do nas, gdy zmęczy ją praca w domu mój, i właśnie... właśnie przyjeżdża.

Nie przyszłoby mi to nigdy do głowy. Anna Larsen była dawną przyjaciółką mojej biednej matki i rzadko widywała ojca. Niemniej jednak, gdy przed dwoma laty wróciłam z internatu, ojciec, który nie bardzo wiedział, co ze mną robić, posłał mnie do niej. W ciągu tygodnia ubrała mnie gustownie i nauczyła dobrych manier. Wzbudziła we mnie namiętny podziw dla siebie, który zręcznie skierowała na pewnego młodego człowieka ze swego otoczenia. Zawdzięczałam jej więc moje pierwsze eleganckie stroje i moją pierwszą miłość. Przy swoich czterdziestu dwu latach była kobietą pociągającą i wytworną. Twarz jej, piękna i dumna, miała wyraz znużonej obojętności. Ta obojętność to jedyna rzecz, jaką można jej było zarzucić. Anna była uprzejma i daleka. Biła z niej jakaś uparta siła woli i spokój serca, który onieśmiał. Nie słyszało się, by miała kochanka, chociaż była rozwiedziona i niezależna. Zresztą obracaliśmy się w różnych środowiskach. Ona spotykała się z ludźmi mądrymi, dobrze wychowanymi, dyskretnymi, a my z osobami hałaśliwymi, żądnymi rozrywek, bo ojciec wymagał od ludzi jedynie tego, żeby byli ładni lub zabawni. Mam wrażenie, że Anna pogardzała trochę ojcem i mną, bo przywiązywaliśmy zbyt dużą wagę do zabaw i błahostek – jak pogardzała wszelkim brakiem umiaru. Spotykaliśmy się tylko na przyjęciach dla załatwiania interesów, ona

prowadziła bowiem salon mód, a ojciec zajmował się reklamą. Łączyło nas jeszcze wspomnienie o matce i moje starania, żeby się z nią spotykać, bo choć mnie onieśmielała, podziwiałam ją bardzo. Ten nagły przyjazd wydawał się poza tym niefortunny, gdy się pomyślało o obecności Elzy i znało wymagania towarzyskie Anny.

Elza zadawała mnóstwo pytań dotyczących pozycji Anny w świecie i poszła spać. Gdy zostałam sama z ojcem, siadłam u jego stóp na schodach. Pochylił się ku mnie i położył mi ręce na ramionach.

– Dlaczego jesteś taka chuda, maleńka? Wyglądasz jak dziki kotek. Chciałbym, żeby moja córka była ładną, tłuściutką blondynką o porcelanowych oczach i...

– Nie o to chodzi! – przerwałam. – Dlaczego zaprosiłeś Annę? Dlaczego zgodziła się, tu przyjechać?

– Może dlatego, żeby zobaczyć twego starego ojca. Nigdy nic nie wiadomo.

– Ty nie jesteś typem mężczyzny, który może interesować Annę – odpowiedziałam. – Jest na to zbyt inteligentna i za wysoko się ceni. A Elza? Czy pomyślałeś o Elzie? Czy ty możesz sobie wyobrazić rozmowy Anny z Elzą? Bo ja nie!

– Nie pomyślałem o tym – przyznał. – To straszne doprawdy! Cecylko, moje dziecko, a gdybyśmy tak wrócili do Paryża?

Śmiał się cicho, gładząc mi kark. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Wokół jego ciemnych, błyszczących oczu tworzyły się małe, śmieszne zmarszczki, kąciki ust uniosły się w górę. Przypominał fauna. Zaczęłam się śmiać z nim razem, jak zwykle, gdy ściągał sobie na głowę jakieś kłopoty.

– Mój stary druhu! – powiedział. – Co ja bym począł bez ciebie?

I ton jego głosu brzmiał tak przekonywająco, tak czule, że pojęłam, iż rzeczywiście byłby nieszczęśliwy.

Do późnej nocy mówiliśmy o miłości i jej komplikacjach, które ojciec zresztą uważał za wyimaginowane. Odrzucał systematycznie takie pojęcia jak wierność, głębia uczuć, obowiązek. Tłumaczył mi, że są one jałowe i krępujące. Gdyby to mówił kto inny, byłabym oburzona. Ale znałam go. Wiedziałam, że u niego nie wykluczało to ani czułości, ani przywiązania. Uczucia te okazywał tym łatwiej, że wiedział, iż są one przemijające, i chciał, by takie były. To mi odpowiadało: miłość nagła, gwałtowna i nietrwała. Nie byłam w wieku, w którym wierność pociąga. Spotkania, pocałunki, znudzenie – to były moje miłosne doświadczenia.

2

Anna miała przyjechać najwcześniej za tydzień Korzystałam z tych ostatnich dni prawdziwych wakacji. Wynajęliśmy willę na dwa miesiące, ale wiedziałam, że z chwilą przyjazdu Anny zupełna swoboda będzie już niemożliwa. Anna nadawała sprawom kształt, a słowom sens, których my z ojcem najchętniej unikaliśmy. Narzucała reguły dobrego smaku i właściwego zachowania i trudno było nie wyczuć tego w jej nagłym zamykaniu się w sobie, w milczeniu pełnym urazy, w słowach. Było to interesujące i męczyło jednocześnie, no i w końcu upokarzało, bo czułam, że miała rację.

W dniu jej przyjazdu zdecydowaliśmy, że ojciec z Elzą wyjadą po nią na dworzec do Fréjus. Odmówiłam stanowczo mego udziału w tej wyprawie. Ojciec, chcąc jakoś ratować sytuację, ściał wszystkie mieczyki w ogrodzie, by ofiarować je Annie, gdy tylko wysiądzie z pociągu. Poradziłam mu tylko, by bukietu nie niosła Elza. Po ich wyjeździe, o trzeciej, zeszałam na plażę. Upał był nieznośny. Wyciągnęłam się na piasku i już prawie usypiałam, gdy obudził mnie głos Cyryla. Otworzyłam oczy; niebo było białe, nasycone upałem. Nie odpowiedziałam Cyrylowi; nie miałam ochoty rozmawiać z nim ani z nikim. Byłam jak przygwożdżona do piasku całą siłą tego gorącego lata, ramiona ciążyły mi, w ustach zasychało.

– Umarłaś czy co? – zapytał. – Z daleka wyglądasz jak samotny rozbitek.

Uśmiechnęłam się. Usiadł obok, a mnie serce zaczęło walić ciężko, głucho, bo siadając dotknął niechcący mego ramienia. Wiele razy w ciągu ostatniego tygodnia moje wspaniałe popisy pływackie zbliżały nas w wodzie do siebie, splatały razem, nie budząc we mnie najmniejszego niepokoju. Ale dziś ten upał, ta ociążałość, ten niezręczny gest wystarczyły, by coś się jakby we mnie załamało. Obróciłam głowę w jego stronę. Patrzył na mnie. Zaczynałam go poznawać: był zrównoważony i przyzwoitszy może, niż jest się na ogół w jego wieku. Dlatego nasza sytuacja – ta dziwna trójka – raziła go. Był zbyt dobry lub zbyt nieśmiały, by mi o tym powiedzieć, lecz wyczuwałam to z niechętnych, pełnych urazy spojrzeń, jakie rzucał memu ojcu. Chciałby pewnie, żebym się tym przejmowała. Ale ja nie przejmowałam się wcale, a jedyną rzeczą, jaka dręczyła mnie w tej chwili, był jego wzrok i gwałtowny niepokój własnego serca. Pochylił się ku mnie. Przypomniałam sobie ostatnie dni tego tygodnia, moją ufność i spokój u jego boku, i gdy te pełne, trochę ciężkie wargi zbliżyły się do mej twarzy, zrobiło mi się czegoś zal.

– Cyrylu – powiedziałam – byliśmy tacy szczęśliwi...

Pocałował mnie delikatnie. Spojrzałam w niebo. Potem nie widziałam już nic prócz czerwonych błysków rozpryskujących się pod zaciśniętymi powiekami. Upał, odurzenie, smak pocałunków, westchnienia przeciągały się w długie minuty. Dźwięk klaksonu spłoszył nas jak złodziei. Bez słowa zostawiłam Cyryla i wróciłam do domu. Zdziwił mnie ten szybki powrót: pociąg Anny nie mógł jeszcze przyjść. Niemniej ujrzałam ją w chwili, gdy wysiadłszy z własnego auta wchodziła na taras.

– Ależ to pałac Śpiącej Królowy! – zawołała. – Jakżeś ty się opaliła, Cecylko! Cieszę się, że cię widzę.

– Ja też się cieszę, że panią widzę – odpowiedziałam. – Jedzie pani prosto z Paryża, prawda?

– Wołałam przyjechać samochodem. Zresztą jestem śmiertelnie zmęczona.

Zaprowadziłam ją do przeznaczonego dla niej pokoju. Otworzyłam okno w nadziei, że dojrzę zagłówkę

Cyryla, ale już jej nie było. Anna usiadła na łóżku. Zauważyłam, że ma podkrążone oczy.

– Ta willa jest czarująca! – powiedziała z westchnieniem. – A gdzie pan domu?

– Pojechał z Elzą na dworzec po panią.

Postawiłam właśnie walizkę na krześle i odwracając się do Anny doznałam wstrząsu. Wyraz jej twarzy zmienił się nagle, usta drżały.

– Elza Mackenbourg? Przywiózł tu Elzę Mackenbourg?!

Nie znałam odpowiedzi. Patrzyłam na nią w osłupieniu. Ta twarz, którą widziałam zawsze tak spokojną, tak opanowaną, wydana w ten sposób na pastwę mego zdumienia... Wpatrywała się we mnie poprzez obrazy, jakie nasuwały jej moje słowa; na koniec dostrzegła mnie i odwróciła głowę.

– Powinłam was była uprzedzić – powiedziała. – Ale tak się śpieszyłam, by wyjechać, taka byłam zmęczona...

– A teraz... – podjęłam machinalnie.

– Co teraz? – spytała.

Wzrok jej był pytający, pogardliwy. Nic się przecież nie stało.

– Teraz przyjechała pani – powiedziałam głupio, pocierając w zakłopotaniu ręce. – Bardzo się cieszę, że pani tu jest, naprawdę. Zaczekam na dole. Jeśli chciałaby pani napić się czegoś, to proszę tylko powiedzieć...

Bąkając coś pod nosem wycofałam się z pokoju i zesłam po schodach. Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Co znaczy ten wyraz, ten zmieniony głos, to nagłe załamanie? Usiadłam na leżaku i zamknęłam oczy. Staralam się przypomnieć sobie twarz Anny: poważną, spokojną czy ironiczną, ale zawsze mocną w wyrazie, kojącą. Odkrycie tej twarzy tak wrażliwej na ból wzruszało mnie i irytowało równocześnie. Czy Anna kochała mego ojca? Czy to możliwe, by go kochała? Nic w nim nie odpowiadało jej gustom. Był słaby, lekkomyślny, czasami tchórzliwy. Ale może to tylko zmęczenie podróżą, zastrzeżenia natury moralnej? Spędziłam całą godzinę na snuciu hipotez.

O piątej przyjechał ojciec z Elzą. Obserwowałam go, gdy wysiadał z auta. Staralam się dociec, czy Anna może go kochać. Szedł ku mnie szybko, z głową lekko odchylną do tyłu, uśmiechając się. Pomyślałam, że to bardzo możliwe, że Anna go kocha. Któż mógłby mu się oprzeć?

– Anna nie przyjechała! – krzyknął. – Mam nadzieję, że nie wypadła z pociągu.

– Jest w swoim pokoju – odpowiedziałam. – Przyjechała samochodem.

– Nie? To wspaniale! Musisz jeszcze tylko zanieść jej na górę ten bukiet.

– Kupiłeś mi kwiaty? – zabrzmiał głos Anny. – To bardzo miło z twojej strony.

Schodziła ze schodów na jego spotkanie, wypoczęta, z uśmiechem na ustach, w sukni, na której nie znać było śladów podróży. “Zeszła na dół dopiero słysząc nadjeżdżający samochód – pomyślałam ze smutkiem. – Mogła zrobić to wcześniej i porozmawiać ze mną, choćby o egzaminie, który zresztą oblałam”.

Ta ostatnia myśl pocieszyła mnie.

Ojciec podszedł do Anny, pocałował ją w rękę.

– Spędziłem kwadrans na peronie, z tym bukietem w ręku i głupim uśmiechem na ustach. Ale chwała Bogu, że już jesteś, Anno! Czy znasz Elzę Mackenbourg?

Odwróciłam oczy.

– Musiałyśmy się chyba spotkać – odpowiedziała Anna wyjątkowo uprzejmie. – Dostałam wspaniały pokój.

To bardzo miło z twojej strony, Rajmundzie, żeś mnie zaprosił. Byłam naprawdę bardzo zmęczona.

Ojciec promieniał. W jego pojęciu wszystko układało się dobrze. Dużo mówił, odkorkowywał butelki. A ja widziałam znów na przemian rozpaloną twarz Cyryla, to twarz Anny, obie pełne namiętności, i zastanawiałam się, czy wakacje będą takie przyjemne, jak to zapowiadał ojciec.

Ta pierwsza kolacja była bardzo wesoła. Ojciec z Anną mówili o wspólnych znajomych, nielicznych co prawda, lecz interesujących. Bawiłam się do momentu, gdy Anna oświadczyła, że współnik ojca jest ograniczony. Człowiek ten dużo pił, ale był sympatyczny i w jego towarzystwie spędziliśmy z ojcem niezapomniane wieczory.

Zaprotestowałam:

– Lombard jest zabawny. Sama byłam świadkiem, jak bawił towarzystwo.

– Przyznasz jednak, że jest ograniczony i nawet jego humor...

– To nie jest może ten rodzaj inteligencji, który się potocznie nazywa inteligencją, ale...

Przerwała mi z miną pobłażliwą:

– To, co nazywasz rodzajem inteligencji, to tylko kwestia pewnej dojrzałości.

Zwięzłość i dosadność tego sformułowania zachwyliły mnie. Niektóre zdania stwarzają subtelny intelektualny klimat, który mnie oczarowuje, nawet jeśli nie rozumiem ich dokładnie. Powiedzenie Anny wzbudziło we mnie chęć posiadania małego notesu i ołówka. Powiedziałam jej to. Ojciec wybuchnął śmiechem.

– No, przynajmniej nie jesteś zawzięta!

Nie mogłam być zawzięta, bo Anna nie była złośliwa. Czułam, że jest na to zbyt obojętna; sądy jej nie miały tej ścisłości i ostrości właściwej ludziom złośliwym. Były za to tym bardziej przytłaczające.

Owego pierwszego wieczora Anna zdawała się nie dostrzegać rozmyślnego lub nieświadomego roztargnienia Elzy, która udała się prosto do pokoju ojca. Anna przywiozła mi pulower ze swojej pracowni, ale nie pozwoliła podziękować sobie za prezent. Podziękowania nudziły ją, a ponieważ moje nie dorównywały nigdy entuzjazmowi, jaki wzbudzał upominek, nie wysiłałam się zbytnio.

– Uważam, że ta Elza jest bardzo miła – powiedziała Anna, zanim wyszłam.

Patrzyła mi w oczy bez uśmiechu. Szukała w nich myśli, którą chciała za wszelką cenę wymazać z mojej pamięci, odwracając mą uwagę od swej niedawnej reakcji.

– Tak, owszem, to czarująca... hm... dziewczyna... bardzo miła – wyjąkałam.

Roześmiała się, a ja poszłam spać bardzo zdenerwowana. Usnęłam z myślą o Cyrylu, który tańczył może właśnie z dziewczętami w Cannes.

Zdaję sobie sprawę, że zapominam o najważniejszym: o istnieniu morza, o jego nieustannym rytmie, o słońcu. Nie wspominam też czterech lip na dziedzińcu mego internatu na prowincji, ich zapachu... Ani uśmiechu ojca na peronie, gdy przed dwoma laty skończyłam szkołę, tego uśmiechu pełnego zakłopotania, bo nosiłam warkocze i ubrana byłam w brzydką, ciemną sukienkę, i jego wybuchy radości w samochodzie, radości nagłej, triumfującej, gdyż przypominałam go z oczu i z ust i miałam stać się najmilszą i najwspanialszą z jego zabawek. Wszystko było dla mnie nieznane jeszcze, obce. To on miał mi pokazać Paryż, luksus, dzięki niemu miałam poznać życie z najładniejszej i najłatwiejszej strony. Myślę, że większość ówczesnych przyjemności zawdzięczałam pieniądзом: przyjemność szybkiej jazdy samochodem, posiadania nowej sukni, kupowania płyt, książek, kwiatów. Jeszcze dziś nie wstydzę się

tych łatwych przyjemności; mogę je zresztą nazwać "łatwymi" tylko dlatego, że mówiono mi, iż są łatwe. Szkoda mi raczej i żałuję, że martwiłam się i wpadałam w przygnębiające nastroje. Pragnienie szczęścia, szukanie przyjemności najbardziej odpowiadają mojemu usposobieniu.

Może za mało w życiu czytałam? W internacie czyta się tylko budujące dzieła. W Paryżu nie miałam czasu czytać. Gdy wychodziłam z wykładu, przyjaciele ciągnęli mnie do kina, dziwiąc się, że nie znam nazwisk aktorów filmowych, lub na tarasy kawiarni, na słońce. Delektowałam się przyjemnością mieszania się z tłumem, wypicia czegoś w kawiarni, lubiłam być z kimś, kto patrzył mi w oczy, trzymał za rękę, a potem uprowadzał daleko od tego tłumu. Szliśmy ulicami aż do domu. Tam pod drzwiami całowaliśmy się: poznawałam słodki smak pocałunków. Wspomnienia te nie kojarzą się ściśle z żadnym imieniem. Jan, Hubert, Jacek... imiona znane wszystkim młodym dziewczynom! Wieczorami doroślałam. Wychodziliśmy z ojcem na przyjęcia, na których nie miałam nic do roboty, przyjęcia bardzo różne, gdzie bawiłam się i bawiłam innych moją młodością. Po skończonym wieczorze ojciec odwoził mnie do domu i najczęściej odprowadzał potem jakąś przyjaciółkę. Nie słyszałam, kiedy wracał.

Nie chcę nasuwać przypuszczenia, że afiszował się w jakiś sposób swymi przygodami. Po prostu nie ukrywał się przede mną lub, mówiąc ściślej, nie usprawiedliwiał zdawkowymi czy kłamliwymi słowami częstych wizyt którejs z przyjaciółek lub jej wprowadzania się na dobre... na szczęście nie na długo. Tak czy owak nie mogłabym pozostawać długo w nieświadomości co do rodzaju stosunków, jakie łączyły ojca z tymi "gośćmi", jemu zaś zależało zapewne na tym, by nie stracić mego zaufania, tym bardziej że unikał tym samym uciążliwych wysiłków obmyślenia kłamstw. Była to świetna metoda. Zarzucić mu można jedynie to, że jego cyniczny i zblazowany stosunek do miłości nie pozostawał bez wpływu na mnie. Przy moim wieku i doświadczeniu jednak mogło mnie to raczej bawić niż pociągać. Powtarzałam sobie z upodobaniem lapidarne sformułowania, między innymi następujące Oskara Wilde'a: "Grzech jest jedyną barwną plamą we współczesnym świecie". Z absolutnym przekonaniem uważałam to zdanie za własne, z o wiele większym – wydaje mi się – przekonaniem, niż gdybym je stosowała w praktyce. Sądziłam, że mogłabym się na nim wzorować, czerpać z niego natchnienie; ideałem wydawało mi się życie bezecne i podłe.

3

Nazajutrz rano obudziły mnie ukośne promienie słońca, padające na moje łóżko i zalewające je swym ciepłem, i wyrwały z dziwnych i pogmatwanych snów, w których się szamotałam. Niezupełnie jeszcze rozbudzona, próbowałam usunąć ręką z twarzy to natrętne ciepło, lecz po chwili zaniechałam tego. Była dziesiąta. Zeszłam w pidżamie na taras, gdzie zastałam Annę przeglądającą gazety. Zauważyłam, że była świetnie, choć nieznacznie umalowana. Nigdy chyba dotąd nie pozwoliła sobie na prawdziwy urlop. Ponieważ nie zwracała na mnie uwagi, wzięłam kawę i pomarańczę i siadłam spokojnie na schodku, delektując się poranną przyjemnością: nadgryzałam pomarańczę, słodki sok rozplýwał mi się w ustach, potem łyk parzącej kawy i znów świeżość owocu. Słońce grzało mi włosy i wygładzało ślady pościeli na skórze. Za pięć minut pójde się kąpać. Drgnęłam na dźwięk głosu Anny.

– Nic nie jesz, Cecylko?

– Rano wolę tylko napić się czegoś, bo...

– Musisz przytyć ze trzy kilo, żeby jako tako wyglądać. Masz zapadnięte policzki i jesteś tak chuda, że można

ci zebra policzyć. Idź, przynieś sobie jakieś kanapki.

Błagałam ją, żeby nie zmuszała mnie do jedzenia kanapek. Właśnie zaczynała mi tłumaczyć, że to jest konieczne, gdy zjawił się ojciec w swoim wspaniałym szlafroku w grochy.

– Cóż za uroczy widok! – zawołał. – Dwie opalone dziewczynki siedzące na słońcu i rozprawiające o kanapkach!

– Niestety, tylko jedna dziewczynka – odpowiedziała śmiejąc się Anna. – Jestem w twoim wieku, mój drogi. Ojciec pochylił się i wziął ją za rękę.

– Zawsze tak samo szczerza – powiedział czule i spostrzegłam, że powieki Anny zatrzepotały, jakby od nieoczekiwanej pieśczoły.

Skorzystałam z tej chwili, aby się wymknąć. Na schodach natknęłam się na Elżę. Widać było, że dopiero co wstała z łóżka. Miała opuchnięte powieki, a nie umalowane wargi odcinały się bledością od czerwonej, spieczonej na słońcu twarzy. Omal jej nie zatrzymałam i nie powiedziałam, że Anna jest na dole, że ma świeżą i wypielegnowaną twarz i że na pewno opali się stopniowo i bez uszczerbku dla urody. Omal jej nie ostrzegłam. Ale na pewno by to źle zrozumiała. Miała dwadzieścia dziewięć lat, o trzynaście mniej niż Anna, i w jej oczach był to największy atut.

Wzięłam kostium kąpielowy i pobiegłam do zatoczki. Ku mojemu zdziwieniu ujrzałam już tam Cyryla. Siedział w swojej łódce. Z poważną miną ruszył na moje spotkanie. Wziął mnie za rękę i powiedział:

– Chciałem cię przeprosić za wczoraj...

– To była moja wina – odpowiedziałam.

Nie czułam najmniejszego zakłopotania i dziwił mnie jego uroczy ton.

– Mam sobie bardzo za złe... – zaczął znowu, spychając żaglówkę na wodę.

– Naprawdę nie ma powodu – powiedziałam wesoło.

– Właśnie że jest.

Siedziałam już w łódce. Cyryl stał po kolana w wodzie, opierając się rękami o krawędź żaglówki jak o barierę w sądzie. Zrozumiałam, że nie wejdzie do łódki, póki nie powie wszystkiego, i patrzyłam na niego z całą niezbędną w tej sytuacji uwagą. Znałam dobrze jego twarz, umiałam już w niej czytać. Pomyślałam sobie, że Cyryl ma dwadzieścia pięć lat, że uważa się może za uwodziciela, i to mnie rozśmieszyło.

– Nie śmiej się – powiedział. – Wiesz, bardzo byłem zły na siebie wczoraj wieczorem. Nic cię nie broni przede mną. Twój ojciec, ta kobieta, przykład... Gdybym był ostatnim łajdakiem, byłoby to samo. Równie dobrze mogłabyś mi uwierzyć...

Nie był nawet śmieszny. Czułam, że był dobry, że gotów był mnie kochać i że ja też chciałam go pokochać. Zarzuciłam mu rękę na szyję i przytuliłam policzek do jego twarzy. Miał szerokie ramiona i muskularne ciało.

– Miły jesteś, Cyrylu – szepnęłam. – Będę cię lubiła jak brata.

Z gniewnym okrzykiem objął mnie ramionami, wyciągnął z łódki i trzymał tak w powietrzu, przytuloną, z głową opartą na jego ramieniu. W tej chwili kochałam go. W świetle poranka miał ciało takie złociste, był taki miły, taki łagodny jak ja, taki opiekuńczy. Gdy usta jego szukały moich, zaczęłam drżeć z rozkoszy tak jak on. W pocałunku naszym nie było ani wstydu, ani wyrzutów sumienia, tylko wzajemne głębokie poszukiwanie, przerywane szeptami. Wyrwałam mu się i popłynęłam do łódki, którą tymczasem uniosły fale. Zanurzyłam twarz w wodzie, aby odświeżyć ją, ochłoniąć. Woda była zielona. Ogarnęło mnie uczucie szczęścia i zupełnej bez troski.

O wpół do dwunastej Cyryl odjechał, a na ścieżce ukazał się ojciec ze swoimi paniami. Szedł między nimi podtrzymując je, podawał na przemian rękę to jednej, to drugiej, z wdziękiem i swobodą tylko jemu właściwą. Anna miała na sobie swój płaszcz kąpielowy. Pod ostrzałem naszych spojrzeń zdjęła go spokojnie i położyła się na piasku. Miała cienką talię i wspaniałe nogi. Jedynie lekko zwiotczałe ciało zdradzało jej wiek. Bez wątplenia był to wynik lat pielęgnacji i starania. Mimo woli spod uniesionych brwi rzuciłam ojcu spojrzenie pełne aprobaty. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie odwzajemnił go, przymknął oczy. Biedna Elza była w oplakany stan. Smarowała się od stóp do głów oliwą. Nie przysięgłabym, czy za tydzień ojciec... Anna odwróciła głowę w moją stronę.

– Cecylko, dlaczego wstajesz tutaj tak wcześnie? W Paryżu wylegiwałaś się w łóżku do południa.

– Musiałam pracować – odpowiedziałam. – To mnie wykańczało.

Anna nie uśmiechnęła się. Uśmiechała się tylko wtedy, gdy miała na to ochotę, nigdy konwencjonalnie jak wszyscy.

– A twój egzamin?

– Oblany! – odparłam żywo. – Oblany na całego!

– Musisz go bezwarunkowo zdać w październiku.

– Po co? – wtrącił się ojciec. – Ja nigdy nie miałem dyplomu, a wcale nieźle mi się powodzi.

– Ty miałeś z czym zacząć, miałeś jakieś pieniądze – przypomniała Anna.

– Moja córka znajdzie sobie zawsze mężczyzn, którzy się o nią zatroszczą – powiedział z godnością ojciec.

Elza roześmiała się, ale szybko spoważniała napotkawszy nasze spojrzenia.

– Cecylia powinna pracować w czasie tych wakacji – powiedziała Anna i przymknęła oczy na znak, że uważa temat za wyczerpany.

Rzuciłam ojcu spojrzenie pełne rozpacz. Odpowiedział mi zakłopotanym uśmiechem. Widziałam już siebie ślęczącą nad tomami Bergsona, czarne linijki druku skakały mi przed oczami, a z dala dobiegał śmiech Cyryla... Ta myśl napelniła mnie przerażeniem. Podczołgałam się do Anny i zawołałam ją cichutko. Otworzyła oczy. Pochyliłam ku niej błagalną, pełną niepokoju twarz. Wciągnęłam jeszcze bardziej policzki, aby nadać sobie wygląd przepracowanej intelektualistki.

– Anno – poprosiłam – nie zrobi mi pani tego. Nie każe mi pani przecież pracować podczas tych upałów. Na wakacjach mogłabym się tak poprawić...

Przez chwilę patrzyła na mnie uważnie, po czym uśmiechnęła się tajemniczo i odwróciła głowę.

– Powinam ci "to" zrobić... mimo tych upałów, o których mówisz. Znam cię przecież, Cecylko. Dwa dni będziesz na mnie zła, ale zdasz egzamin.

– Są rzeczy, do których nie można się przyzwyczaić – oświadczyłam z powagą.

Rzuciła mi rozbawione i zuchwałe spojrzenie. Wyciągnęłam się z powrotem na piasku, pełna niepokoju. Elza rozprawiała o jakichś zabawach na wybrzeżu. Ale ojciec nie słuchał jej. Z wierzchołka trójkąta, który tworzyły ich ciała, wpatrywał się w profil Anny, w jej ramiona nieruchomym, natarczywym spojrzeniem, które tak dobrze znałam. Jego dłoń otwierała się i zamykała na piasku ruchem miękkim, regularnym, nieustannym. Pobiegłam do wody i zanurzyłam się w niej jęcząc z żalu za wakacjami, które mogły być, a których nie będzie. Mieliśmy wszystkie elementy dramatu: uwodziciela, kobietę z półświatka i kobietę, która wie, czego chce. Na dnie morza spostrzegłam śliczną muszelkę, różowo-błękitny kamyczek. Dałam nurka, by ją wyłowić, ścisnęłam ją w dłoni, delikatną i gładką, aż do

obiadu. "To będzie moja maskotka – postanowiłam. – Nie rozstanę się z nią przez całe lato". Nie rozumiem, jak to się stało, że jej nie zgubiłam, bo gubię wszystko. Trzymam ją teraz w rękę, różową i ciepłą, i chce mi się płakać.

4

Co mnie w następnych dniach najwięcej dziwiło, to niezwykła uprzejmość Anny w stosunku do Elzy. Mimo niezliczonych głupstw, które wyplatała Elza usiłując zabłysnąć w rozmowie, Anna nie rzucała nigdy żadnego z owych krótkich, jej tylko właściwych zdań, które ośmieszyłyby biedaczkę. Pochwalałam w duchu jej cierpliwość i szlachetność, nie zdając sobie sprawy, że było w tym dużo wyrachowania. Ojciec znużyłby się szybko takimi złośliwymi gierkami. A tak był jej nawet wdzięczny i nie wiedział sam, jak to okazać. Wdzięczność była tu zresztą tylko pretekstem. Niewątpliwie odnosił się do Anny z dużym szacunkiem, jakby do drugiej matki swojej córki, zachowywał się tak, jakby powierzał mnie stale jej opiece i czynił ją w pewnym stopniu odpowiedzialną za to, jaka jestem. Chciał ją przez to zbliżyć do siebie i związać ściślej z nami. Ale niektóre jego spojrzenia i gesty były spojrzeniami i gestami skierowanymi do kobiety, której się nie zna i której się pożąda. To były te same spojrzenia, na których przychwytywałam czasami Cyryla, co budziło we mnie równocześnie chęć unikania go i prowokowania. Byłam widocznie wrażliwsza na to niż Anna. Okazywała ona w stosunku do ojca obojętność i spokojną uprzejmość, co napełniało mnie zaufaniem. Zaczynałam wierzyć, że pomyliłam się owego pierwszego dnia, nie dostrzegałam, że ta niedwuznaczna uprzejmość podniecała ojca. A zwłaszcza to milczenie... Milczenie tak naturalne, tak dystygowane. Stanowiło ono jaskrawy kontrast z bezustanną paplaniną Elzy. Biedna Elza. Nie domyślała się naprawdę niczego, była tryskająca życiem i zbyt gadatliwa, a świeżość jej ucierpiała mocno na skutek brzydkiej opalenizny.

Pewnego dnia jednak pochwyciła widocznie i zrozumiała spojrzenie ojca; zauważyłam, że przed obiadem szepnęła mu coś do ucha. Przez chwilę miał minę zdziwioną i zakłopotaną, potem z uśmiechem skinął głową. Przy poobiedniej kawie Elza wstała, podeszła do drzwi, odwróciła się do nas i przybierając pozę omdlewającą, dobrze zaobserwowaną, jak myślę, u hollywoodzkich gwiazd filmowych, spytała tonem, w którym zawierały się całe wieki francuskiej galanterii:

– Idziesz, Rajmundzie?

Ojciec podniósł się, zaczerwienił się z lekka i poszedł za nią mówiąc coś o dobroczynnym wpływie poobiedniej sjęsty. Anna nawet nie drgnęła. Papieros żarzył się w jej nieruchomej dłoni. Czułam, że muszę coś powiedzieć...

– Ludzie uważają, że poobiednia sjęsta to prawdziwy wypoczynek, ale mnie się wydaje, że tak nie jest...

Urwałam, uświadomiwszy sobie natychmiast dwuznaczność tego zdania.

– Proszę cię, przestań! – powiedziała sucho Anna.

Nie dostrzegła nawet dwuznaczności moich słów, uważała je po prostu za niesmaczne. Spojrzałam na nią. Nadała swej twarzy wyraz spokoju i obojętności, który mnie wzruszył. Być może w tej chwili piekielnie zazdrościła

Elzie. Zapragnęłam ją pocieszyć. Przyszła mi do głowy cyniczna myśl, która wprawiała mnie w zachwyt. Wszystkie moje cyniczne pomysły napępniały mnie zawsze pewnością siebie i dawały oszałamiające wrażenie, że spiskuję sama z sobą. Nie mogłam się powstrzymać, by nie wypowiedzieć tej myśli na głos:

– Niech pani weźmie pod uwagę, że jak się ma tak spaloną skórę jak Elza, taka sješta nie jest chyba upajająca ani dla niej, ani dla niego.

Lepiej by było, gdybym się w ogóle nie odezwała.

– Nie cierpię uwag tego rodzaju! – powiedziała Anna. – W twoim wieku to więcej niż głupie, to smutne.

Zdenerwowałam się nagle.

– Żartowałam przecież, przepraszam panią. Jestem pewna, że w gruncie rzeczy są oboje bardzo zadowoleni.

Zwróciła ku mnie udęconą twarz. Przeprosiłam ją natychmiast. Przymknęła oczy i zaczęła mówić głosem cichym, łagodnym.

– Masz zbyt uproszczone pojęcie o miłości. Miłość to nie jest przecież szereg wrażeń zupełnie ze sobą nie związanych.

Pomyślałam, że wszystkie moje miłości były takie właśnie. Nagłe wzruszenie na widok czyjejś twarzy, pod wpływem gestu, pocałunku... Radosne chwile bez żadnego związku – to były moje wspomnienia o miłości.

– A miłość to co innego – mówiła Anna. – To nieustanna czułość, serdeczność, tęsknota... Nie jesteś w stanie tego zrozumieć.

Zrobiła nieokreślony ruch ręką i wzięła gazetę. Wolałabym, by wpadła w złość, by przestała być tak beznadziejnie obojętna wobec mojego braku uczuciowości. Pomyślałam sobie, że ma rację, że żyję jak zwierzątko, zależna od cudzych kaprysów, że jestem słaba i godna pożałowania. Czułam dla siebie pogardę i uczucie to było niesłychanie przykre, bo nie byłam do niego przyzwyczajona, nie oceniając dotąd własnej osoby ani ze złej, ani z dobrej strony: Poszłam do siebie na górę, by pomarzyć trochę. Leżąc w miękkiej pościeli słyszałam wciąż słowa Anny: "Miłość to co innego... to tęsknota..." Czy ja kiedykolwiek za kims tęskniłam?

Nie przypominam już sobie dobrze, co zaszło podczas najbliższych dwóch tygodni. Jak już wspomniałam, nie chciałam widzieć nic określonego, nic niepokojącego. Pamiętam dokładnie kolejność wydarzeń w ciągu tych wakacji, bo poświęciłam im całą moją uwagę. Ale te trzy tygodnie, te trzy tygodnie w sumie szczęśliwe... Który to był dzień, gdy ojciec bez skrępowania zaczął wpatrywać się w usta Anny? Gdy niby żartem wypominał jej głośno, że traktuje go obojętnie? Gdy już poważnie porównał subtelność inteligencji Anny z naiwną głupotą Elzy? Źródłem mego spokoju była niemądra myśl, że ojciec i Anna znali się przecież od piętnastu lat i że gdyby się mieli kochać, to mogli to zrobić wcześniej. Mówiłam sobie: "Gdyby to nawet miało nastąpić, ojciec będzie zakochany trzy miesiące, a Anna zachowa z tego parę gorących wspomnień i trochę upokorzenia". A przecież zdawałam sobie sprawę, że Anna nie jest kobietą, którą można w ten sposób porzucić. Zresztą był przecież Cyryl i o nim stale myślałam. Często wieczorami jeździliśmy razem na dansingi do Saint-Tropez, gdzie tańczyliśmy w takt omdlewających dźwięków klarnetu, szepcząc sobie miłosne słowa, które nazajutrz zapominałam, lecz które owego wieczora wydawały się takie słodkie. W dzień jeździliśmy żaglówką wzdłuż wybrzeża. Czasami towarzyszył nam mój ojciec. Cenił on bardzo Cyryla, zwłaszcza od czasu, gdy ten pozwolił prześcignąć się w crawlu. Nazywał go "swoim małym Cyrylkim", a Cyryl tytułował go "panem", lecz zastanawiałam się często; który z nich był w gruncie rzeczy dojrzały.

Któregoś popołudnia poszliśmy na herbatę do matki Cyryla. Była to starsza dama, spokojna i uśmiechnięta,

która opowiedziała nam o swoich kłopotach wdowy i matki. Ojciec wyraził jej współczucie i wypowiedział pod jej adresem szereg komplementów, rzucając Annie spojrzenia pełne wdzięczności. Muszę przyznać, że nigdy nie przychodziło mu do głowy, że jego wysiłki mogłyby pójść na marne. Anna obserwowała to wszystko z uprzejmym uśmiechem. Po powrocie oświadczyła, że starsza pani jest czarująca. Wpadłam w złość i zaczęłam przeklinać wszystkie starsze panie tego typu. Ojciec i Anna patrzyli na mnie z pobłażliwym i rozbawionym uśmiechem, który wyprowadził mnie zupełnie z równowagi.

– Pani nie zdaje sobie sprawy, że ona jest z siebie zadowolona! – krzyczałam – że jest zachwycona swoim życiem, bo jej się wydaje, że spełniła swe obowiązki i...

– Ależ tak jest – przerwała Anna. – Spełniła to, co nazywamy obowiązkami żony i matki.

– A jej obowiązki kurwy? – spytałam.

– Nie znoszę ordynarności – ucięła Anna – nawet paradoksalnej.

– To nie jest żaden paradoks. Wyszła za męża jak inne kobiety, z ochoty lub dlatego, że taki jest zwyczaj. Miała dziecko. Wie pani przecież, skąd się biorą dzieci, prawda?

– Zapewne mniej dobrze niż ty – odpowiedziała ironicznie Anna – ale mam pewne o tym pojęcie.

– No i wychowała to dziecko. Oszczędziła sobie zapewne kłopotów i cierpień nie zdradzając męża. Miała takie życie, jakie ma tysiąc innych kobiet, i szczyci się tym, rozumie pani? Spełniła swoją rolę żony i matki w środowisku drobnomieszczańskim i nie kiwnęła palcem, żeby ją zmienić. Chwali się, że nie zrobiła tego lub owego, a nie, że dokonała czegokolwiek.

– To wszystko nie ma wielkiego sensu – wtrącił ojciec.

– To oszukiwanie samego siebie! – krzyknęłam. – Człowiek mówi sobie: "Spełniłem mój obowiązek" – bo nic nie zrobił. Gdyby, urodzona w swoim środowisku, została prostytutką, miałyby przynajmniej jakąś zasługę.

– Twoje poglądy są bardzo nowoczesne, ale niewiele warte – powiedziała Anna.

Była to może prawda. Mówiłam, co myślałam, ale słyszałam to już od innych. Niemniej zarówno moje życie, jak i życie ojca opierało się na tej teorii i Anna zraniła mnie wyrażając się o niej z pogardą. Można być przywiązanym nawet do rzeczy błahych, lecz Anna nie uważała mnie za istotę myślącą. Poczułam nagłą, gwałtowną potrzebę wyprowadzenia jej z błędu. Nie przypuszczałam, że tak szybko będę miała okazję po temu i że potrafię ją wykorzystać. Zresztą przyznawałam, że może za miesiąc będę miała na te sprawy pogląd wręcz odmienny, że moje przekonania ulegną zmianie. Czyż mogłam być wtedy wielkoduszna?

5

A potem, któregoś dnia, wszystko się skończyło. Pewnego ranka ojciec zdecydował, że wieczorem pojedziemy do Cannes zabawić się i potańczyć. Przypominam sobie radość Elzy. Miała ona nadzieję, że w dobrze jej znanej atmosferze nocnych lokali odzyska swój dawny blask uwodzicielskiego wampa. Przyćmiła go bowiem ostatnio niefortunna opalenizna i nasz niemal samotny tryb życia. Wbrew moim oczekiwaniom Anna nie sprzeciwiała się temu "wypadowi w świat"; wydawała się nawet dość z niego zadowolona. Toteż bez żadnego niepokoju poszłam zaraz po kolacji na górę, by włożyć wieczorową suknię, jedyną zresztą, jaką posiadałam. To ojciec mi ją wybrał. Uszyta była z

ekscentrycznego materiału, na pewno zbyt ekscentrycznego dla mnie, gdyż ojciec mój, czy to z upodobania, czy z przyzwyczajenia, ubierał mnie wyzywająco. Zastałam go na dole. Wyglądał olśniewająco w nowym smokingu. Zarzuciłam mu ręce na szyję.

– Jesteś najpiękniejszym mężczyzną, jakiego znam!

– Z wyjątkiem Cyryla – powiedział bez przekonania. – A ty jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką znam.

– Z wyjątkiem Anny – dorzuciłam, również bez przekonania.

– Ponieważ nie ma ich jeszcze i ponieważ ośmielają się kazać nam czekać, chodź potańczyć z twoim starym, zreumatyzowanym ojcem.

Opanował mnie dawny cudowny nastrój, poprzedzający wszystkie nasze eskapady. Mój ojciec nie miał w sobie naprawdę nic ze starego ojca. Tańcząc z nim, wchłaniałam znany mi zapach wody kolońskiej, ciepła, tytoniu. Tańczył rytmicznie, z przymkniętymi oczami, z szczęśliwym uśmiechem na ustach, którego, podobnie jak ja, nie mógł opanować.

– Musisz nauczyć mnie tańczyć be-bop – powiedział zapominając o swoim reumatyzmie.

Przerwał taniec, aby machinalnie powitać komplementem nadchodzącą Elżę. Schodziła wolno ze schodów. Ubrana była w zieloną suknię. Uśmiechała się zblazowanym uśmiechem kobiety światowej, tym swoim uśmiechem z kabaretu. Zrobiła, co się dało, ze swymi wysuszonymi włosami i skórą spieczoną na słońcu, ale mimo tych wysiłków rezultat nie był olśniewający. Na szczęście nie zdawała sobie chyba z tego sprawy.

– Jedziemy?

– Nie ma jeszcze Anny – powiedziałam.

– Skocz na górę, zobacz, czy jest gotowa – powiedział ojciec. – Już czas jechać do Cannes. Nim tam zajdziemy, będzie dwunasta.

Weszłam po schodach, płacząc się w mojej długiej sukni, i zapukałam do drzwi Anny. Zawołała, że mogę wejść. Zatrzymałam się na progu. Miała na sobie suknię przedziwnego jasnoszarego koloru, prawie białą, w której skupiało się światło jak o świcie w odcieniach fal morskich. Tego wieczoru była uosobieniem całego uroku dojrzałości.

– Cudowna! – zawołałam. – Ach, Anno, co za suknia!

Uśmiechnęła się do lustra, uśmiechem, jakim obdarza się kogoś na pożegnanie.

– Ten szary kolor udał się, co? – spytała.

– To pani się udała! – odpowiedziałam z zachwytem.

Popatrzyła na mnie i pociągnęła mnie za ucho. Oczy jej były ciemnobłękitne. Widziałam, jak rozjaśniły się uśmiechem.

– Jesteś miłą dziewczynka, chociaż czasami męcząca.

Przepuściła mnie przodem, nie robiąc żadnych uwag o mojej sukni, co mnie ucieszyło i dotknęło jednocześnie. Anna zeszła pierwsza. Widziałam, jak ojciec szedł jej na spotkanie. Zatrzymał się u stóp schodów, z nogą na stopniu, z twarzą zwróconą ku niej. Elza też patrzyła na Annę. Przypominam sobie dokładnie tę scenę: na pierwszym planie, przede mną, opalony kark, idealnie piękne ramiona Anny, trochę niżej olśniona twarz ojca, jego wyciągnięta ręka – a w oddali sylwetka Elzy.

– Anno – powiedział ojciec – jesteś niezrównana!

Uśmiechnęła się mijając go i wzięła swój płaszcz.

– Spotkamy się na miejscu – powiedziała. – Pojedziesz ze mną, Cecylko?

Pozwoliła mi prowadzić wóz. W nocy droga była tak piękna, że jechałam wolno. Anna milczała. Zdawała się nawet nie słyszeć hałaśliwych dźwięków radia. Gdy na zakręcie wyminął nas otwarty samochód ojca, nie drgnęła nawet. Czułam, że jestem niejako poza grą, że nastąpi coś, na co nie będę miała żadnego wpływu.

W kasynie dzięki manewrom ojca zgubiliśmy się szybko. Odnalazłam Elzę w barze. Była tam z jednym ze swoich znajomych z Ameryki Południowej, na pół już pijanym. Zajmował się teatrem i mimo że się upił, był wciąż interesujący dzięki pasji, z jaką mówił o swoim zawodzie. Spędziłam z nim blisko godzinę i było bardzo przyjemnie. Ale Elza nudziła się. Znała parę głośnych nazwisk aktorów, ale sama praca w teatrze nie interesowała jej. Nagle zapytała mnie, gdzie jest ojciec, tak jakbym ja mogła wiedzieć coś na ten temat, i odeszła. Amerykanin wydawał się przez chwilę tym zasmucony, ale szybko pocieszył się nowym kieliszkiem whisky. Nie myślałam o niczym i byłam w cudownym nastroju, gdyż piłam z nimi tylko z uprzejmości. Sytuacja stała się jeszcze zabawniejsza, kiedy chciał zatańczyć ze mną. W tańcu musiałam trzymać go wpół i uważać, żeby nie deptał mi po nogach, co wymagało niemało energii. Bawiliśmy się tak świetnie, że gdy Elza szarpnęła mnie za ramię i gdy zobaczyłam jej tragiczną minę, miałam ochotę posłać ją do wszystkich diabłów.

– Nie mogę ich znaleźć – powiedziała.

Świecąca twarz, z której stał się puder, wyrażała przerażenie, rysy jej były ściągnięte. Był to żaloszny widok. Ogarnęła mnie nagle wściekłość na ojca. Jego brak taktu przechodził wszelkie pojęcie.

– Ja wiem, gdzie oni są – odpowiedziałam z uśmiechem, jak gdyby szło o rzecz najnaturalniejszą w świecie, która nie powinna jej niepokoić. – Poczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

Pozbawiony podpory moich ramion, Amerykanin padł w objęcia Elzy i wydawał się z tego zadowolony. Pomyślałam ze smutkiem, że ma ona obfitsze kształty od moich i że nie mogę mieć o to do niej żalu. Kasyno było duże; obeszłam je dwukrotnie, bez rezultatu. Gdy i poszukiwania na tarasach okazały się bezskuteczne, pomyślałam o samochodzie.

Trwało chwilę, nim odnalazłam go w parku. Siedzieli w nim oboje. Podeszłam od tyłu i dostrzegłam ich przez szybę. Zbliżone do siebie profile były skupione i dziwnie piękne w świetle reflektora. Patrzyli na siebie i chyba cicho rozmawiali; widziałam, że wargi ich poruszały się. Miałam ochotę odejść, ale pomyślałam o Elzie i otworzyłam drzwiczki samochodu. Ręka ojca spoczywała na ramieniu Anny; zaledwie mnie dostrzegli.

– Dobrze się bawicie? – spytałam uprzejmie.

– Co się stało? – odpowiedział ojciec zirytowany. – Co ty tu robisz?

– A wy? Elza szuka was wszędzie od godziny.

Anna wolno i jakby z żalem zwróciła głowę w moją stronę.

– Wracamy do domu. Powiedz jej, że czułam się zmęczona i że ojciec mnie odwiózł. Jak będziecie miały dość zabawy, wróćcie moim wozem.

Dygotałam z oburzenia, brakło mi wprost słów.

– Jak będziecie miały dość zabawy! Chyba nie zdajecie sobie sprawy, że to obrzydliwe!

– Co jest obrzydliwe? – spytał ze zdziwieniem ojciec.

– Przywozisz sobie nad morze rudego kociaka. Na słońce, którego ona nie znosi, i kiedy już zupełnie oblaźła

ze skóry, rzucasz ją. O, to zbyt wygodnie! Co ja mam powiedzieć Elzie?

Anna zwróciła się ku niemu, z miną znużoną. Ojciec uśmiechał się do niej, nie słuchał mnie wcale. Byłam u szczytu zdenerwowania.

– Ja jej... ja jej powiem, że mój ojciec znalazł inną, z którą będzie spał, i że ona, Elza, może się wynosić, tak?

Usłyszałam gniewny okrzyk ojca i równocześnie poczułam policzek wymierzony mi ręką Anny. Cofnęłam gwałtownie głowę. Anna sprawiła mi ból.

– Przepróż w tej chwili! – rozkazał ojciec.

Stałam nieruchomo przy drzwiczkach samochodu, tysiące myśli kłębiło mi się w głowie.

Zawsze zbyt późno uświadamiam sobie, jak powinnam się zachować chcąc być wytworną.

– Chodź tu! – powiedziała Anna.

Ton jej nie był groźny, więc zbliżyłam się. Pogłaskała mnie po twarzy i powiedziała łagodnie, spokojnie, jak gdybym była małym głuptasem:

– Nie bądź niedobra. Bardzo mi przykro z powodu Elzy. Ale ty masz przecież dość taktu, aby jak najlepiej tę sprawę załatwić. Jutro porozmawiamy. Czy bardzo cię boli?

– Ależ nie – odpowiedziałam uprzejmie.

Ta serdeczność po moim wybuchu złości rozczuliła mnie tak, że chciało mi się płakać. Patrzyłam, jak odjeżdżali, w głowie miałam zupełną pustkę. Jedyłą pociechą była dla mnie myśl o moim tacie, który miałam za chwilę okazać. Wróciłam wolno do kasyna, gdzie odnalazłam Elzę z uczeponym jej ramienia Amerykaninem.

– Anna źle się poczuła – powiedziałam niefrasobliwie. – Ojciec musiał ją odwieźć do domu. Napijemy się czegoś?

Patrzyła na mnie bez słowa. Szukałam w myślach jakiegoś przekonywującego argumentu.

– Miała mdłości – wyjaśniłam. – Zniszczyła sobie całą suknię. Okropność!

Prawdziwość tego szczególu wydała mi się nieodpartym dowodem, ale Elza zaczęła cichutko, żałośnie płakać. Patrzyłam na nią bezradnie.

– Cecylio, och, Cecylio, byliśmy tacy szczęśliwi!

Płakała coraz żałośnie. Amerykanin popłakał się także i powtarzał raz po raz:

– Byliśmy tacy szczęśliwi, tacy szczęśliwi...

W tej chwili nienawidziłam Anny i ojca. Zrobiłabym wszystko, żeby przerwać płacz biednej Elzy, nie widzieć rozmazującego się na jej rzęsach tuszu i nie słyszeć szlochającego Amerykanina.

– Jeszcze nie wszystko stracone, Elzo. Jedź teraz ze mną.

– Przyjadę niedługo po moje rzeczy! – szlochała. – Żegnaj, Cecylio; rozumiałyśmy się tak dobrze.

Nigdy nie rozmawiałam z nią o niczym innym niż o pogodzie czy sukniach, ale w tej chwili miałam uczucie, że tracę starą przyjaciółkę. Odwróciłam się gwałtownie i pobiegłam do samochodu.

6

Nazajutrz rano czułam się źle, zapewne z powodu ilości whisky wypitej poprzedniego wieczoru. Obudziwszy

się stwierdziłam, że leżę w poprzek łóżka, w ciemności; wargi miałam spuchnięte, ciało nieprzyjemnie wilgotne. Przez szparę w żaluzji wpadał promień słońca, w którego blasku unosiły się pyłki kurzu tworząc gęste smugi. Nie chciało mi się ani wstać, ani zostać w łóżku. Zastanawiałam się, czy Elza wróci i jakie miny będą mieli rano Anna i ojciec. Zmuszałam się do myśli o nich, aby nie myśleć o wysiłku, jaki sprawi mi podniesienie się z łóżka. Wstałam w końcu, obolała, z ciężką głową. Pod stopami poczułam zimne kafelki podłogi. W lustrze ujrzałam smutne odbicie; pochyliwszy się przyjrzałam mu się uważnie: rozszerzone źrenice, obrzękłe usta, ta obca twarz – czy to ja? Czyż powodem mojej słabości i tchórzostwa mogły być te usta, te proporcje twarzy, to despotyczne, nienawistne ograniczenie? A jeśli już mnie ograniczano, dlaczego musiałam dowiadywać się o tym w sposób tak nagły, tak przeciwny mojej naturze? Bawiło mnie, że nie znośłam samej siebie, że nienawidziłam tej twarzy przypominającej pysk wilka, zapadniętej i zmiętej na skutek rozpusty. Powtarzałam głucho to słowo “rozpusta”, patrząc na moje odbicie w lustrze, i nagle spostrzegłam, że się uśmiecham. Też mi rozpusta! Parę marnych kieliszków, policzek i łyż. Umyłam zęby i zesłam na dół.

Ojciec z Anną siedzieli już obok siebie na tarasie i jedli śniadanie. Rzuciłam niepewnie: “Dzień dobry”, i siadłam naprzeciwko przy stole. Wstydziłam się patrzeć na nich, ale milczenie zmusiło mnie do podniesienia oczu. Ściągnięte rysy Anny były jedynym śladem miłosnej nocy. Uśmiechali się oboje, wyglądali szczęśliwi. To mnie wzruszyło: szczęście wydawało mi się zawsze jakąś afirmacją, jakimś osiągnięciem.

– Dobrze spałeś? – zapytał ojciec.

– Tak sobie – odpowiedziałam. – Za dużo wypiałam whisky wczoraj wieczór.

Nalałam sobie kawy, skosztowałam jej, ale szybko odstawiłam filiżankę. W ich milczeniu było coś szczególnego, jakiegoś oczekiwania, co sprawiło, że czułam się nieswojo. Byłam zbyt zmęczona, aby to dłużej znosić.

– Co się dzieje? Macie takie tajemnicze miny.

Ojciec zapalił papierosa ruchem pozornie spokojnym. Anna spojrzała na mnie, po raz pierwszy wyraźnie zakłopotana.

– Chciałam cię o coś zapytać – powiedziała w końcu.

Byłam przygotowana na najgorsze.

– Znów jakaś misja do Elzy?

Odwrociła głowę w kierunku ojca.

– Twój ojciec i ja chcielibyśmy się pobrać – powiedziała.

Spojrzałam uważnie na nią, potem na ojca. Przez chwilę oczekiwałam od niego jakiegoś znaku czy mrugnięcia okiem, co by mnie oburzyło, ale i uspokoiło. Ojciec wpatrywał się w swoje ręce. “To niemożliwe” – myślałam, ale wiedziałam już, że to prawda.

– Bardzo dobra myśl – powiedziałam, aby zyskać na czasie. Nie mogłam zrozumieć: ojciec, taki zaarty przeciwnik małżeństwa, wszelkich więzów – w ciągu jednej nocy zmienił zdanie... To burzyło całe nasze życie. Traciliśmy niezależność. Wyobraziłam sobie to życie we troje, życie nagle ustabilizowane dzięki inteligencji i subtelności Anny, życie, którego jej zazdrościłam. Mądrzy, wytworni przyjaciele, szczęśliwe, spokojne wieczory... Poczulałam nagłą pogardę dla hałaśliwych przyjęć, dla tych znajomych z Ameryki Południowej, dla różnych Elz. Ogarnęło mnie uczucie jakiejś wyższości i dumy.

– To bardzo, bardzo dobra myśl – powtórzyłam i uśmiechnęłam się do nich.

– Wiedziałem, że będziesz zadowolona, koteczku – powiedział ojciec z uczuciem ulgi.

Był zachwycony. Twarz Anny, odmieniona miłosnym zmęczeniem, wydawała się bliższa, serdeczniejsza niż kiedykolwiek.

– Chodź tu do nas, kotku – powiedział ojciec.

Wyciągnął do mnie rękę, przytulił mnie do siebie, do Anny. Patrzyli na mnie, klęczącą przed nimi, z serdecznym wzruszeniem gładzili mnie po głowie. A ja bez przerwy myślałam o tym, że jest to może punkt zwrotny w moim życiu, ale że w rzeczywistości jestem dla nich tylko "kotkiem", małym kochającym zwierzątkiem. Gdy tak siedzieli pochyleni nade mną, czułam, że łączy ich jakaś przeszłość i jakaś przyszłość, więzy, których nie znałam i które nie mogły mieć na mnie żadnego wpływu. Z rozmysłem przymknęłam oczy, oparłam głowę o ich kolana, śmiałam się razem z nimi, weszłam znów w moją rolę. Zresztą, czyż nie byłam szczęśliwa? Annie nie można było nic zarzucić, nie spostrzegłam u niej nigdy cienia małostkowości. Ona mnie poprowadzi, będzie się czuła odpowiedzialna za moje życie, wskaże właściwą drogę we wszystkich okolicznościach. Stanę się pełnym człowiekiem, a ojciec wraz ze mną.

Ojciec wstał, by przynieść butelkę szampana. Ogarnął mnie niesmak. Był szczęśliwy, to było co prawda najważniejsze, ale przecież już tyle razy widziałam go szczęśliwym z powodu kobiety...

– Bałam się ciebie trochę – powiedziała Anna.

– Dlaczego? – spytałam.

Słuchając jej miałam wrażenie, że mój sprzeciw mógłby przeszkodzić małżeństwu tych dwojga dorosłych ludzi.

– Myślałam, że się mnie będziesz bała – powiedziała i zaczęła się śmiać.,

Śmiałam się także, bo rzeczywiście trochę się jej bałam. Dawała mi teraz do zrozumienia, że wie o tym i że moje obawy są zbędne.

– Czy małżeństwo takich staruszków nie wydaje ci się śmieszne?

– Nie jesteście przecież starzy – powiedziałam z udanym przekonaniem, bo właśnie ukazał się ojciec. Szedł tanecznym krokiem, z butelką w rękę.

Siadł obok Anny, objął ją ramieniem. Ruch ciała, którym pochyliła się ku niemu, skłonił mnie do spuszczenia oczu. To na pewno jego śmiech, to mocne opiekuńcze ramię, ta żywotność, ciepło bijące od niego sprawiały, że chciała go poślubić. Czterdzieści lat, strach przed samotnością, może ostatnie porywy zmysłów... Nie myślałam nigdy o Annie jak o kobiecie, ale jak o człowieku; widziałam w niej inteligencję, wytworność, pewność siebie, ale nigdy nie dostrzegałam zmysłowości, słabości... Rozumiałam, że ojciec może się czuć zaszczycony: dumna, obojętna dla wszystkich Anna Larsen wychodzi za niego. Czy kochał ją? Czy potrafi długo ją kochać? Jak odróżnić tę miłość od uczucia, jakie miał dla Elzy? Zamknęłam oczy, słońce rozleniwiało mnie. Siedzieliśmy we troje na tarasie, pełni niedomówień, ukrytych niepokojów i szczęścia.

W ciągu kilku następnych dni Elza nie pokazała się. Tydzień minął szybko. Siedem szczęśliwych, przyjemnych dni, jedynych. Snuliśmy skomplikowane plany urządzenia mieszkania, rozkładu zajęć. Oboje z ojcem znajdowaliśmy przyjemność w ścisłym ich rozplanowywaniu i w stwarzaniu w związku z tym trudności, jak robią ludzie, którzy nie mają o tym pojęcia. Zresztą, czy kiedykolwiek wierzyliśmy w to naprawdę? Czy ojciec uważał rzeczywiście za możliwe jadać codziennie obiad o tej samej porze i w tym samym miejscu, wracać na kolację do domu

i już nie wychodzić? A jednak beztrzesko żegnał się ze swoją cygańską swobodą, zachwalał porządek, elegancki, zorganizowany mieszczański tryb życia. Zapewne wszystko to nie było dla niego, tak jak i dla mnie, niczym innym jak czystą teorią. Zachowałam z tego tygodnia jedno wspomnienie, które lubię dziś rozpamiętywać, aby dręczyć samą siebie. Anna była beztrzeska, ufna, pełna słodyczy, ojciec kochał ją. Widziałam ich co rano, jak przytuleni, uśmiechnięci, z podkrążonymi oczami schodzili na dół, i chciałam, przysięgam, że chciałam, żeby to trwało całe życie. Wieczorami szliśmy na wybrzeże, by wypić aperitif w kawiarni. Wszędzie uważano nas za normalną rodzinę. Byłam przyzwyczajona do wychodzenia tylko z ojcem i do litościwych lub złośliwych spojrzeń i uśmiechów, cieszyłam się więc teraz, że jestem wreszcie w roli odpowiedniej do mojego wieku. Ślub miał się odbyć w Paryżu, zaraz po powrocie.

Biedny Cyryl przyglądał się w osłupieniu tym przeobrażeniom. Lecz takie legalne zakończenie cieszyło go. Jeździliśmy razem łódką, całowaliśmy się, kiedy tylko mieliśmy na to ochotę, i czasami, gdy przyciskał usta do moich ust, przed oczami stawała mi znowu twarz Anny, ta twarz nosząca rano słodkie ślady zmęczenia; widziałam jej tęskne rozleniwienie i miłosną ociężałość w ruchach i zazdrościłam jej. Pocałunki przestają wystarczać i na pewno zostałabym w tym czasie kochanką Cyryla, gdyby mnie mniej kochał.

Codziennie o szóstej, gdy wracaliśmy z wysp, Cyryl wciągał łódkę na piasek. Szliśmy do domu przez sosnowy las i bawiliśmy się w Indian lub dając sobie wzajemnie fory ścigaliśmy się, aby się rozgrzać. Prawie zawsze Cyryl doganiał mnie przed domem, rzucał się na mnie, krzycząc, że zwyciężył, przewracał na ziemię pokrytą sosnowymi igłami, wiązał mnie i całował. Dziś jeszcze mam na ustach smak tych zadyszanych pocałunków i czuję rytm serca Cyryla przytulonego do mnie, zlewający się z rytmem rozbijających się na piasku fal... Raz, dwa, trzy, cztery, uderzenia serca i cichy szum morza: raz, dwa, trzy... raz... Cyryl chwycił oddech, jego pocałunek stawał się pewniejszy, mocniejszy... Nie słyszałam już szumu fal, w uszach brzmiało mi tylko szybkie i równe tętno własnej krwi.

Któregoś wieczora spłoszył nas głos Anny. Leżeliśmy obok siebie, prawie nadzy, w świetle zachodzącego słońca pełnym czerwonych blasków i cieni, i rozumiem, że to mogło ją zgorszyć. Oстрыm tonem zawołała mnie po imieniu. Cyryl zerwał się oczywiście zawstydzony. Ja z kolei podniosłam się także, lecz wolniej i spojrzałam na Annę. Zwróciła się do Cyryla i mówiła do niego cicho i tak, jakby go nie widziała:

– Mam nadzieję, że więcej pana nie zobaczę.

Cyryl nie odpowiedział, pochylił się, pocałował mnie w ramię i odszedł. Zdziwił mnie i wzruszył ten jego gest – jak jakaś obietnica.

Anna utkwiała we mnie spojrzenie poważne, a równocześnie obojętne, jakby myślała o czym innym. To mnie rozdrażniło: jeśli myślała o czym innym, to po co tyle mówiła. Podeszłam do niej, tylko z czystej uprzejmości udając zawstyżenie. Machinalnie zdjęła mi z szyi sosnową igłę i jakby dopiero wtedy zobaczyła mnie naprawdę. Twarz jej przybrała maskę pogardy, znużenia i niezadowolenia, która czyniła ją zadziwiająco piękną i napawała mnie lękiem.

– Powinnaś wiedzieć, że ten rodzaj rozrywek kończy się zazwyczaj w klinice – powiedziała.

Mówiła to wszystko bacznie mi się przyglądając, co mnie strasznie męczyło. Należała do tych kobiet, które potrafią mówić stojąc bez ruchu. Ja tego nie potrafię. Mnie w takich wypadkach potrzebny jest fotel, jakiś przedmiot do trzymania w ręku, na przykład papieros, lubię przy tym machać nogą i rozmawiając przyglądać się jej.

– Nie trzeba przesadzać – powiedziałam uśmiechając się. – Pocałowałam tylko Cyryla, przez to nie idzie się

jeszcze do kliniki.

– Proszę cię, żebyś go więcej nie widywała – odparła Anna, jakby mi nie wierzyła. – Nie protestuj. Masz siedemnaście lat, czuję się teraz trochę za ciebie odpowiedzialna i nie pozwolę na to, żebyś zmarnowała sobie życie. Zresztą masz coś przecież do roboty, to ci wypełni popołudnia.

Odwróciła się i odeszła w stronę domu swoim niedbałym krokiem. Przerazenie przygwoździło mnie do ziemi. Anna nie żartowała; wszystkie moje argumenty, moje zaprzeczenia przyjmie z tą obojętnością gorszą niż pogarda, jakbym w ogóle nie istniała, jakbym była czymś, co można opanować, a nie mną, Cecylią, którą znała od dziecka, i żeby chociaż cierpiała nad tym, że karze mnie w ten sposób! Jedyną nadzieją był ojciec. Na pewno zareaguje on jak zwykle: “Kto to jest ten chłopiec, kotku? Czy jest przynajmniej ładny i zdrowy? Unikaj mętnych typków, córeczko!” Musi zareagować w ten sposób, bo inaczej koniec z moimi wakacjami.

Kolacja była koszmarna. Anna nie zaproponowała mi: “Nie powiem nic ojcu, nie jestem donosicielką, ale musisz mi przyrzec, że będziesz się pilnie uczyć!” Takie metody były jej obce. Cieszyłam się z tego i równocześnie miałam do niej żal, bo to by mi dało powód do pogardzania nią. Jak zwykle, tak i tym razem nie popełniła fałszywego kroku. Dopiero po zupie jakby sobie przypomniała o tym, co zaszło.

– Chciałabym, abyś dał kilka rozsądnych rad twojej córce, Rajmundzie. Zastałam ją dziś wieczór w lasku z Cyrylem, i wydawali się oboje co najmniej zachwyceni.

Ojciec usiłował obrócić to w żart. Biedny!

– Co ty mówisz! I cóż tam robili?

– Całowałam Cyryla! – krzyknęłam namiętnie. – A pani, Anno, myślała...

– Nic nie myślałam – ucięła Anna. – Ale sądzę, że byłoby dobrze, gdyby Cecylka na pewien czas przestała go widywać i popracowała nad swoją filozofią.

– Biedna mała! – powiedział ojciec. – Ten Cyryl to właściwie miły chłopiec.

– Cecylia jest też miłą dziewczynką – odparła Anna. – Dlatego właśnie byłabym niepokieszona, gdyby jej się coś złego przytrafiło. Wziąwszy pod uwagę zupełną swobodę, jaką ma tutaj, stałe towarzystwo tego chłopca i ich beczynność, wydaje mi się to nieuniknione. A tobie nie?

Na dźwięk tych ostatnich słów podniosłam oczy, ale ojciec spuścił wzrok, bardzo zakłopotany.

– Masz pewnie rację – powiedział. – Tak, właściwie powinnaś popracować trochę, Cecylko. Nie chcesz chyba powtarzać roku.

– Cóż mi w końcu na tym zależy! – odpowiedziałam krótko.

Ojciec spojrzał na mnie i zaraz odwrócił oczy. Nie wiedziałam, co począć. Zdawałam sobie sprawę, że beztroska była jedyną istotną wartością naszego życia, na której obronę nie umiałam znaleźć argumentów.

– Posłuchaj, Cecylko – powiedziała Anna ujmując nad stołem moją rękę – tylko na jeden miesiąc przemienisz się z leśnej dziewczyny w pilną uczennicę. To chyba nie takie straszne, prawda?

Patrzyli na mnie uśmiechając się. W ich pojęciu wszystko było proste. Delikatnie wysunęłam rękę z dłoni Anny.

– Właśnie że straszne!

Powiedziałam to tak cicho, że nie usłyszeli moich słów albo nie chcieli ich usłyszeć.

Nazajutrz rano siedziałam znów nad Bergsonem. Upłynęło parę minut, nim zrozumiałam następujące zdanie:

“Mimo niejednorodności, jak się z początku wydaje, skutków i ich przyczyny i mimo że odległa w istocie rzeczy wydaje się droga od reguły zachowania do jej afirmacji, przeżycie wewnętrzne mówi nam, że umiłowanie ludzkości czerpiemy z kontaktu z działalnością twórczą rodzaju ludzkiego”.

Powtarzałam sobie to zdanie najpierw cichutko, żeby się nie denerwować, a potem głośno. Oparłam głowę na rękach i wpatrywałam się w nie uważnie. Wreszcie je zrozumiałam i poczułam się równie obojętna i bezsilna jak w chwili, gdy czytałam je po raz pierwszy. Nie mogłam dłużej. Przebiegłam wzrokiem następne wiersze z równą uwagą, pełna najlepszych chęci, i nagle jakby jakaś siła poderwała mnie i rzuciła na łóżko. Pomyślałam, o Cyrylu, który czekał w złotej zatoczce, o łagodnym kołysaniu łódki, o smaku naszych pocałunków, i przypomniałam sobie Annę. Myśli moje były tak podłe, że aż usiadłam. Serce biło mi mocno, a ja perswadowałam sobie, że to głupie i okropne, że jestem rozpieszczona i leniwa i że nie mam prawa myśleć tak o Annie. Ale wbrew woli myślałam dalej, że jest ona niebezpieczna, że nam szkodzi i że trzeba ją usunąć z naszej drogi. Z zaciśniętymi zębami odtwarzałam w myśli ów pamiętny obiad. Byłam pełna urazy i rozgoryczenia; uczucia te napęłniły mnie pogardą do samej siebie i ośmieszały we własnych oczach, a za to wszystko winiłam Annę. To ona była przyczyną, że ogarniał mnie wstręt do własnej osoby. Ja, stworzona do szczęścia, miłości, beztronski, przez nią poznałam świat skrupułów i wyrzutów sumienia, w którym – za mało doświadczona w ocenianiu samej siebie – gubiłam się zupełnie. A co mogła dać mi Anna? Mierzyłam jej siły: chciała mojego ojca, miała go, z czasem zrobi z nas idealnego męża i idealną pasierbicę Anny Larsen. To znaczy, że będziemy przestrzegać dobrych obyczajów, będziemy dobrze wychowani i szczęśliwi. Bo ona nas na pewno uszczęśliwi; czułam dobrze, z jaką łatwością i ochotą my, chwiejni i słabi, wdrożymy się w te ramy, jak chętnie zrzucimy na nią odpowiedzialność. Anna była bardzo sprytna. Już teraz ojciec oddalał się niejako. Przy stole prześladowała mnie, nekłała ta twarz zakłopotana, odwrócona ode mnie. Płakać mi się chciało, kiedy przypomniałam sobie nasze dawne spiski, nasze powroty do domu w Paryżu o świcie, gdy jadąc samochodem przez puste ulice zaśmiewaliśmy się z byle czego. Wszystko to skończyło się bezpowrotnie. Teraz z kolei na mnie Anna będzie wpływać, zmieniać mnie, urabiać. Nie odczuję tego nawet boleśnie: wykorzystwała całą swoją inteligencję, ironię, posłuży się słodyczą... Nie potrafię jej się oprzeć. Za pół roku nie będę nawet miała na to ochoty.

Trzeba się koniecznie z tego wpływu otrząsnąć, muszę odzyskać ojca i nasze dawne życie. Jakże pełne uroku wydały mi się nagle te radosne, niczym nie skrepowane dwa lata, lata, których wyparłam się tak łatwo... Móc myśleć, źle myśleć czy mało myśleć, ale decydować samemu o swoim życiu, być takim, jakim się chce! Trudno mi powiedzieć “być samym sobą”, gdyż byłam tylko materiałem, z którego można coś ulepić; nie pozwoliłabym się jednak wtłoczyć w jakieś określone ramy.

Zdaję sobie sprawę, że to moje rozumowanie jest skomplikowane i że można się w nim dopatrzeć niemałych kompleksów: kazirodziej miłości do ojca i niezdrowej namiętności do Anny. Ale prawdziwe powody mojej rozterki były inne: straszliwy upał, Bergson i Cyryl, a raczej brak Cyryla. Całe popołudnie rozmyślałam o tym wszystkim wpadając z nastroju w nastrój, a ostateczny wniosek był jeden: że jesteśmy zdani całkowicie na łaskę Anny. Nie byłam przyzwyczajona do tak długich rozważań, denerwowało mnie to. Przy kolacji, tak jak i rano, nie powiedziałam ani słowa. Ojciec uznał za stosowne zażartować ze mnie:

– Co najbardziej lubię u młodzieży, to jej żywość, skłonność do rozmowy...

Popatrzyłam na niego twardo, ze złością. To prawda, że lubił młodzież. Czyż z kimkolwiek rozmawiało mi się tak dobrze jak z nim? Mówiliśmy o wszystkim: o miłości, o śmierci, o muzyce. Opuszczał mnie teraz, zostawiał

bezbroną. Patrzyłam na niego i myślałam: "Nie kochasz mnie już tak jak dawniej, zdradzasz mnie". I chciałam, aby wyczytał to w moich oczach; przeżywałam prawdziwy dramat. I ojciec spojrzał na mnie, nagle zaniepokojony, uświadomiwszy sobie może, że to już nie jest zabawa, że nasza przyjaźń jest zagrożona. Widziałam jego osłupiałe, pytające spojrzenie. Anna zwróciła się do mnie.

– Źle wyglądasz, Cecylko. Mam wyrzuty sumienia, że każę ci pracować.

Nie odpowiedziałam. Nienawidziłam siebie samej za tę tragedię, którą sobie wyimaginowałam, a która wydawała mi się nieodwracalna. Skończyliśmy kolację. W smudze światła, padającej na taras z okna jadalni, ujrzałam smukłe palce Anny szukające niepewnie dłoni ojca. Pomyślałam o Cyrylu, zapragnęłam, żeby wziął mnie w ramiona na tym tarasie zalany blaskiem księżyca, wypełnionym graniem koników polnych. Chciałam, żeby mnie pieścił, pocieszał, pogodził z samą sobą. Ojciec i Anna milczeli. Ich czekała noc miłości, mnie – Bergson. Próbowałam płakać, rozczulać się sama nad sobą; na próżno. Rozczulałam się nad Anną, jakbym już była pewna, że ją zwyciężę.

CZEŚĆ DRUGA

1

Zadziwiająco dokładnie pamiętam wszystko, co się zdarzyło od tej chwili. Patrzyłam na siebie i na innych nowym spojrzeniem, bardziej ostrym, bardziej wyczulonym. Zawsze dotąd mogłam sobie pozwolić na ten luksus, by reagować na wszystko spontanicznie, kierując się wygodnym egoizmem. Uważałam to za naturalne i nie potrafiłam żyć inaczej. A te kilka dni rozterki sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać nad sobą. Zadręczałam się śmiertelnie tymi rozmyślaniami, lecz nie mogłam znaleźć spokoju. "Moje uczucia w stosunku do Anny – myślałam – są głupie i małoduszne, tak samo jak okrutna jest chęć, rozdzielenia jej z ojcem". Ale z drugiej strony, dlaczego wydaję tak ostry sąd o sobie? Czyż ja, taka, jaka byłam, nie miałam prawa czuć tego, co czułam? Po raz pierwszy w życiu moje "ja" zdawało się rozdawać i odkrycie tej dwoistości dziwiło mnie niesłychanie. Wynajdywałam wszelkie możliwe usprawiedliwienia, szeptałam je sobie, uważając, że jestem szczerą, gdy nagle odzywało się to drugie "ja" krzyżąc, że oszukuje sama siebie, i zadawało kłam moim własnym argumentom, chociaż miały one pozory prawdy. Ale może właśnie to drugie "ja" mnie oszukiwało? Czyż nie to było największym błędem, że tak jasno zdawałam sobie ze wszystkiego sprawę? Godzinami całymi siedząc sama w pokoju szamotałam się bezsilnie, chcąc znaleźć odpowiedź na pytanie, czy mój lęk przed Anną i wrogość w stosunku do niej są usprawiedliwione, czy też jestem po prostu małą, rozpieszczoną egoistką, ludzącą się pozorną niezależnością.

Tymczasem chudłam z dnia na dzień, na plaży ciągle spałam, a podczas posiłków zachowywałam wbrew woli irytujące milczenie, które wprowadzało ich w zakłopotanie. Patrzyłam na Annę, śledziłam każdy jej ruch, powtarzałam sobie stale: "Ten gest, jakim zwróciła się teraz do niego, czyż to nie jest miłość, jedyna w jego życiu? A ten uśmiech, ten wzrok pełen niepokoju skierowany na mnie? Jakżeż mogłabym mieć jej to za złe?" Ale nagle Anna mówiła: "Jak wrócimy do Paryża, Rajmundzie..." I wtedy na myśl o tym, że wśliznie się ona w nasze życie, że będzie je z nami dzieliła, buntowałam się wewnątrz. Wydawała mi się jedynie uosobieniem chłodu i wyrachowania. Mówiłam sobie: "Ona jest zimna, a my jesteśmy uczuciowi, ona jest despotyczna, a my lubimy niezależność, ona jest obojętna, ludzie jej nie interesują, a nas bardzo, ona jest opanowana, a my weseli i swobodni. Wśliznie się ze swoim spokojem pomiędzy nas, pełnych radości życia. Ogrzeje się przy nas, będzie nam zabierała to nasze miłe, beztrudne ciepło, aż zabierze wszystko – jak piękny wąż". Powtarzałam w myśli: "Piękny wąż, piękny wąż!" Podawała mi chleb i nagle przytomniałam. Coś we mnie krzychało: "Jesteś szalona! To Anna, mądra Anna, ta, która się tobą zajęła. Ten chłód jest jej sposobem bycia, nie możesz dopatrywać się w tym wyrachowania; jej obojętność chroni ją przed tysiącem drobnych podłostek, to dowód jej szlachetności". Piękny wąż... Czułam, że blednę ze wstydu, patrzyłam na nią, błagałam ją cichutko o przebaczenie. Czasami podchwytywała mój wzrok, twarz jej zasnuwał cień zdziwienia i niepewności, urywała zdanie w pół słowa. Instynktownie szukała wtedy oczami wzroku ojca. Patrzył na nią z podziwem, pożądliwie, nie rozumiejąc przyczyny tego niepokoju. Doprowadziłam w końcu do tego, że atmosfera stała się nie do zniesienia, i nienawidziłam za to samej siebie.

Ojciec cierpiał, o ile w jego sytuacji można cierpieć. To znaczy nie bardzo, gdyż był szaleńczo zakochany w

Annie, dumny z niej, upojony rozkoszą, i tym tylko żył. Pewnego dnia jednak, gdy drzemałam na plaży po rannej kąpieli, siadł obok mnie przyglądając mi się bacznie. Ciążył mi jego wzrok. Zamierzałam właśnie podnieść się i zaproponować mu tonem pozornie wesołym, do którego przywykałam coraz bardziej, abyśmy weszli znów do wody, gdy położył mi rękę na głowie i zaczął głośno biadać:

– Anno, chodź tu, spójrz na tego chudzielca! Jeżeli to praca tak ją męczy, to trzeba jej dać spokój.

Uważał, że w ten sposób wszystko jest załatwione, i prawdopodobnie jeszcze dziesięć dni temu wszystko byłoby załatwione. Ale sprawa skomplikowała się już znanadto, a popołudniowa praca nie przeszkadzała mi wcale, gdyż nie wzięłam książki do ręki od momentu, kiedy próbowałam zrozumieć Bergsona.

Anna podeszła do nas. Leżałam wyciągnięta na piasku, nasłuchując przytłumionego odgłosu jej kroków. Usiadła obok mnie i szepnęła:

– To prawda, że jej to nie służy. Zresztą, wystarczyłoby, gdyby pouczyła się trochę naprawdę, zamiast chodzić w kółko po swoim pokoju...

Odwrociłam się i popatrzyłam na nich. Skąd ona wiedziała, że nie pracowałam? Może nawet odgadła moje myśli. Uważałam ją za zdolną do wszystkiego. To mnie przeraziło.

– Wcale nie chodzę w kółko po moim pokoju – zaprotestowałam.

– Czy to za tym chłopcem tak tęsknisz? – spytał ojciec.

– Nie!

Nie byłam zupełnie szczerą, choć, prawdę mówiąc, nie miałam czasu myśleć o Cyrylu.

– A jednak widocznie źle się czujesz – powiedział ojciec surowo. – Anno, spójrz na nią. Wygląda jak wypatroszony, upieczony na słońcu kurczak.

– Moja mała Cecylko – powiedziała Anna – zdobądź się na wysiłek. Pracuj trochę i jedz dużo. Ten egzamin jest naprawdę ważny...

– Gwiżdżę na egzamin! – krzyknęłam. – Rozumiecie? Gwiżdżę!

Patrzyłam jej prosto w twarz z rozpaczą w oczach, chciałam, by zrozumiała, że chodzi tu o rzecz ważniejszą niż egzamin. Żeby mnie spytała: “Więc o co chodzi?” Żeby mnie zamęczała pytaniami, żeby mnie zmusiła do opowiedzenia wszystkiego, i wtedy przekonałaby mnie, zadecydowała o wszystkim sama, a ja byłabym wyzwolona od tych gorzkich i poniżających uczuć. Patrzyła na mnie uważnie. W jej błękitnych, pociemniałych teraz oczach czytałam wyrzut i jakby oczekiwanie, i rozumiałam, że nigdy nie przyjdzie jej na myśl wypytywać mnie i wyzwolić, gdyż uważała, że to nie wypada, i że nie przypisywała mi żadnej z tych myśli, którymi ja się tak dręczyłam, a jeśli to robiła, to z uczuciem pogardy i obojętności. Nie zasługiwały zresztą na nic innego! Anna nadawała zawsze rzeczom ich właściwe znaczenie. Dlatego nigdy się nie rozumiemy.

Rzuciłam się znów gwałtownie na ziemię, przytknęłam policzek do ciepłego, miękkiego piasku. Wzdychałam i drżałam cała. Ręka Anny, spokojna i pewna, spoczęła na moim karku. Trzymała ją tak chwilę nieruchomo, póki się nie uspokoiłam.

– Nie komplikuj sobie życia – powiedziała. – Byłaś taka żywa, zadowolona, nie przejmowałaś się niczym, a teraz stajesz się smutna i znanadto filozofujesz. Wcale ci z tym nie do twarzy.

– Wiem. Ja jestem młode, zdrowe, beztroskie stworzenie, wesołe i głupie...

– Chodź na obiad – przerwała.

Ojciec poszedł naprzód, nie znosił tego rodzaju rozmów. Teraz, w drodze, wziął mnie za rękę i zatrzymał ją w swej twardej, krzepiącej dłoni. Ta dłoń ocierała mi łzy, gdy przeżywałam pierwszy zawód miłosny, w tej dłoni trzymałam swoją w chwilach spokoju i zupełnego szczęścia lub ścisłałam ją ukradkiem, gdy zanosząc się od śmiechu w momentach wzajemnego porozumienia czuliśmy się jak dwaj spiskowcy. Ta ręka na kierownicy, ta ręka niepewnie wieczorem szukająca zamka, ta ręka na ramieniu kobiety lub na papierośnicy, ta ręka nie mogła mi już w niczym pomóc. Uścisnęłam ją mocno. Ojciec spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

2

Minęły dwa dni, wciąż w kółko chodziłam po pokoju, zadreślałam się. Nie mogłam uwolnić się od obsesji, że Anna zburzy kompletnie nasze życie. Nie starałam się zobaczyć Cyryla. Uspokajałby mnie i pocieszał, a nie miałam na to ochoty. Znajdowałam nawet pewne zadowolenie zadając sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, wspominając minione dni, ze strachem wyczekując tych, co miały nadejść. Było bardzo gorąco, chociaż zamknięte w moim pokoju żaluzje nie dopuszczały słońca, atmosfera w nim była duszna i wilgotna. Leżąc w łóżku, z głową odrzuconą do tyłu, ze wzrokiem wbitym w sufit, poruszałam się tylko od czasu do czasu, szukając skrawka chłodniejszej pościeli. Nie spałam. W nogach mego łóżka stał adapter i co parę chwil zmieniałam płyty – pozbawione melodii, wybijające tylko rytm. Pałam dużo, wyobrażałam sobie, że znajduję się na dnie upadku, i odkrywałam w tym przyjemność. Lecz tą grą nie mogłam oszukać samej siebie: byłam smutna i wytrącona z równowagi.

Pewnego popołudnia zapukała do moich drzwi pokojówka i z tajemniczą miną oznajmiła mi, że “ktoś czeka na dole”. Pomyślałam natychmiast o Cyrylu. Zeszłam na dół, ale to nie był Cyryl. To była Elza. Uścisnęła mi wylewnie rękę. Patrzyłam na nią i dziwił mnie jej korzystny wygląd. Była nareszcie ładnie, równomiernie opalona, wypielęgowana, tryskająca młodością.

– Przyjechałam po moje rzeczy – powiedziała. – Juan kupił mi ostatnio parę sukienek, ale to wszystko mało.

Przez chwilę zastanawiałam się, kto to jest Juan, ale zaraz przestałam o tym myśleć. Widok Elzy sprawił mi przyjemność. Wnosiła z sobą atmosferę nocnych lokali, przyjemnej zabawy, łatwych kobiet, co przypomniało mi szczęśliwe dni. Powiedziałam jej, jak bardzo się cieszę, że ją widzę, a ona zapewniła mnie; że rozumialiśmy się zawsze dobrze, bo miałyśmy podobne zainteresowania. Udałam, że mi chłodno, i zaproponowałam, żeby weszła na górę, do mego pokoju, co pozwoli jej uniknąć spotkania z ojcem i z Anną. Gdy wspomniałam o ojcu, nie potrafiła opanować lekkiego ruchu głowy. Pomyślałam sobie: “Może go jeszcze kocha... choć ma swego Juana i te suknie?” I pomyślałam jeszcze, że trzy tygodnie temu nie zauważyłabym tego gestu.

Gdy znalazłyśmy się w moim pokoju, wysłuchałam jej opowiadania malującego w jaskrawych barwach światowe i oszałamiające życie, jakie wiodła na wybrzeżu. Czulałam, że budzą się we mnie jakieś dziwne, nie skryształizowane myśli, wywołane po części obecnym wyglądem Elzy. Zamilkła wreszcie, może na skutek mojego milczenia, przeszła się po pokoju i nie patrząc na mnie, zapytała obojętnym tonem:

– Czy Rajmund jest szczęśliwy?

Miałam uczucie, że w rozpoczynającej się grze zdobyłam pierwszy punkt, i od razu zrozumiałam dlaczego. Niezliczona ilość projektów kłębiła mi się w głowie, snułam plany, uginałam się pod ciężarem własnych argumentów.

Natychmiast też wiedziałam, co należy odpowiedzieć Elzie.

– “Szczęśliwy!” To wielkie słowo! Anna nie pozwala, by myślał inaczej. Ona jest bardzo sprytna.

– Bardzo! – westchnęła Elza.

– Nigdy się nie domyślisz, na co go namówiła... Chce się za niego wydać...

Elza zwróciła ku mnie przerażoną twarz:

– Wydać się za niego? Rajmund chce się żenić? Rajmund?

– Tak – odparłam – Rajmund się żeni.

Zachciało mi się nagle strasznie śmiać. Ręce mi drżały. Elza wydawała się zbита z tropu, jakbym jej zadała cios. Nie można było dopuścić żeby się zastanowiła i doszła do wniosku, że ostatecznie w wieku ojca jej to dosyć naturalne i że nie może on spędzić całego życia z kociakami. Pochyliłam się ku niej i stłumionym głosem, by osiągnąć większy efekt powiedziałam:

– Nie można do tego dopuścić, Elzo. On już cierpi. To jest przecież niemożliwe, rozumiesz chyba?

– Tak – odparła.

Wydawała się zafascynowana tą myślą, co mnie śmieszyło i potęgowało moje zdenerwowanie.

– Czekałam na ciebie – mówiłam dalej. – Tylko ty potrafisz walczyć z Anną. Tylko ty masz dane po temu.

Najwyraźniej chciała w to uwierzyć.

– Ale jeśli się z nią żeni, to znaczy, że ją kocha – zaoponowała.

– Daj spokój, Elzo – powiedziałam łagodnie – przecież on ciebie kocha! Nie próbuj wmówić we mnie, że nie wiesz o tym.

Powieki jej zatrzepotały, odwróciła się, by ukryć radość, nadzieją jaką wzbudziłam w niej tymi słowami. Działalam jak w transie, dokładnie wiedziałam, co należy mówić.

– Skusiła go spokojem i harmonią szczęścia rodzinnego i moralnego życia, rozumiesz? I wzięła go na to.

Moje słowa przytłaczały mnie. Bo przecież wyrażałam w ten sposób własne odczucia, w sposób prymitywny i wulgarny co prawda, ale odzwierciedlający moje myśli.

– Jeśli to małżeństwo dojdzie do skutku, Elzo, to życie nas trojga będzie zniszczone. Trzeba bronić ojca. On jest jak duże dziecko... Duże dziecko...

Powtarzałam z naciskiem słowa “duże dziecko”. Brzmiało to, moim zdaniem, nieco zbyt dramatycznie, ale piękne zielone oczy Elzy zasnęła mgielką litości.

– Proszę o to dla ciebie, dla ojca, pomóż mi, Elzo – kończyłam błagalnie – w imię waszej miłości.

– Ale cóż ja mogę zrobić, żeby przeszkodzić temu małżeństwu? – spytała Elza. – Wydaje mi się to niemożliwe.

– Jeśli uważasz to za niemożliwe – powiedziałam tak zwanym “łamiącym się” głosem – zrezygnuj z niego.

– Podła dziwka! – mruknęła Elza.

– To najwłaściwsze określenie – powiedziałam, i ja z kolei odwróciłam głowę.

Elza ożywiła się. Anna zakpiła sobie z niej, ale ona jej pokaże, tej intrygantce, co potrafi ona, Elza Mackenbourg! A mój ojciec kochał ją, zawsze o tym wiedziała. I ona też, nawet przy Juanie, nie mogła zapomnieć o uroku Rajmunda. Oczywiście nie opowiadała mu o “szczęściu rodzinnym”, ale go przynajmniej nie nudziła, nie próbowała...

– Elzo – powiedziałam nie mogąc znieść tego dłużej – pójdziesz do Cyryla i powiesz mu, że proszę, by porozumiał się z matką i zaprosił cię do siebie. I powiedz mu, że jutro rano przyjdę do niego. Omówimy to wszystko we troje.

Już na progu dorzuciłam żartem:

– Pamiętaj, Elzo, że walczysz o swój los.

Przytaknęła z powagą, jak gdyby ten los nie zależał od tuzina co najmniej mężczyzn, którzy ją utrzymywali. Patrzyłam, jak odchodziła w słońcu swoim tanecznym krokiem. Dałam ojcu tydzień czasu; w ciągu tych siedmiu dni powinien na nowo zapalać namiętnością do Elzy.

Było wpół do czwartej. W tej chwili śpi na pewno w ramionach Anny. A ona, upojona miłością, odurzona żarem rozkoszy, szczęśliwa, zapada w sen... Zaczęłam na nowo gwałtownie snuć plany nie biorąc ani na chwilę pod uwagę własnej osoby. Chodziłam bez przerwy po pokoju. Podchodziłam do okna, rzucałam okiem na idealnie spokojne morze, zwracałam do drzwi i znów do okna. Kalkulowałam, wyliczałam, obalałam kolejno wszystkie moje wewnętrzne sprzeczności. Nigdy dotąd nie uświadomiłam sobie tak wyraźnie giętkości ludzkiego umysłu, jego umiejętności przerzucania się z tematu na temat. Wydawałam się sobie niebezpiecznie sprytna i do fali odrazy, która mnie ogarnęła do samej siebie od pierwszej chwili rozmowy z Elzą, dołączyło się uczucie dumy, spokoju wewnętrznego, osamotnienia.

Wszystko to runęło – po cóż mówić o tym? – gdy nadeszła pora kąpieli. Trapiły mnie wyrzuty sumienia w stosunku do Anny, nie wiedziałam, co robić, by wszystko naprawić. Niosłam jej torbę; gdy wyszła z wody, podbiegłam, by podać jej płaszcz, zasypywałam ją przesadnymi grzecznościami i uprzejmymi słowami. Ta nagła zmiana w porównaniu z moim milczeniem w ostatnich dniach nie tylko ją zaskoczyła, ale nawet sprawiała jej przyjemność. Ojciec był zachwycony. Anna dziękowała mi uśmiechem, odpowiadała wesoło, a ja przypominałam sobie słowa: “Podła dziwka!” – “To najwłaściwsze określenie”. Jak mogłam to powiedzieć, wysłuchiwać bzdur Elzy i nie protestować? Zaraz jutro poradzę jej, żeby wyjechała, przyznam, że się pomyliłam. Wszystko będzie tak, jak było, i zdam jednak mój egzamin! Dyplom się z pewnością w życiu przydaje.

– Prawda? – zapytałam Annę. – Prawda, że dyplom się przydaje? Popatrzyła na mnie i wybuchnęła śmiechem. Roześmiałam się także, ciesząc się, że jest wesoła.

– Jesteś niezrównana! – powiedziała.

To prawda, że byłam niezrównana, a gdyby jeszcze wiedziała, jakie miałam zamiary! Umierałam z ochoty opowiedzenia jej o tym, żeby zrozumiała, jak dalece jestem niezrównana! “Niech sobie pani wyobrazi, że wciągnęłam Elzę w komedię: miała się tak zachowywać, jakby była zakochana w Cyrylu, miała u niego mieszkać, jeździć z nim łódką tak, żebyśmy ich widzieli, mieliśmy ich spotykać w lesie, na wybrzeżu... Elza znów bardzo wyładniała. No, oczywiście, nie jest tak piękna jak pani, ale to ten typ wyzywającej urody, za którym oglądają się mężczyźni. Ojciec nie zniósłby tego długo. Nigdy nie pogodziłby się z tym, żeby piękna kobieta, która do niego należała, pocieszyła się tak szybko, i że tak powiem, na jego oczach. Zwłaszcza z mężczyzną młodszym od niego. Rozumie pani, Anno, zapragnąłby jej zaraz, mimo że panią kocha, żeby się upewnić o swoim powrocie. Jest bardzo próżny lub bardzo mało pewny siebie, obojętne jak to nazwiemy. Elza pod moim kierunkiem zrobiłaby wszystko, co trzeba. Pewnego dnia zdradziłby panią, a pani nie mogłaby tego znieść, prawda? Nie należy pani do kobiet, które potrafią dzielić się z kimś ukochanym mężczyzną. I wtedy wyjechałaby pani, a tego właśnie chciałam. Wiem, że to głupie. Miałam do pani

zał o Bergsona, o ten upał... Wyobrażałam sobie... Nie mam nawet odwagi opowiedzieć tego, to zbyt nierealne, zbyt śmieszne. Przez ten egzamin mogłam pokłócić panią z nami, panią, przyjaciółkę mojej matki, naszą przyjaciółkę. A jednak dyplom się przydaje, prawda?"

– Prawda?

– Prawda, że co? – spytała Anna. – Że dyplom się przydaje?

– Tak – odpowiedziałam.

W końcu lepiej było nic jej nie mówić, może nie byłaby zrozumiiała. Były rzeczy, których nie rozumiała. Skoczyłam do wody ścigając ojca, mocowałam się z nim, odnalazłam na nowo radość w zabawie, w kąpeli, w poczuciu czystego sumienia. Jutro zmienię pokój; przeniosę się na poddasze z moimi książkami. Ale jednak nie zabiorę Bergsona, nie trzeba przesadzać! Dwie godziny solidnej pracy w samotności, w skupieniu, zapach atramentu, papier... A w październiku sukces, śmiech osłupiałego ze zdumienia ojca, uznanie Anny, dyplom. Będę inteligentna, wykształcona, trochę obojętna – jak Anna. Może drzemią we mnie jakieś możliwości intelektualne... Potrafiłam przecież w ciągu pięciu minut ułożyć logiczny plan, godny oczywiście pogardy, ale logiczny. A Elza? Skaptowałam ją pochlebstwem, biorąc na sentyment. Przekonałam w kilka sekund, choć przyszła tylko po to, aby zabrać swoją walizkę. Było to zresztą śmieszne: wzięłam Elzę "na muszkę", dostrzegłam od razu jej słaby punkt i dobrze mierzyłam, zanim zaczęłam mówić. Po raz pierwszy w życiu poznałam tę niezwykłą rozkosz: przeniknąć kogoś, przejrzeć, obnażyć i... trafić. Tak jak ktoś lekko dotyka sprężyny, która w tym samym momencie odskakuje, spróbowałam z największą ostrożnością zgłębić drugiego człowieka i nagle wszystko w nim stało się dla mnie jasne. Trafiłam! Nie znałam dotąd tego uczucia, zawsze byłam zbyt impulsywna. Jeśli udało mi się trafić kogoś, to tylko przez nieuwagę. Nagle pojęłam, jak wspinały jest mechanizm ludzkich reakcji, jak wielka potęga słowa!... Szkoda, że uczyniłam to odkrycie posługując się kłamstwem. Pewnego dnia pokocham może kogoś namiętnie i będę szukała drogi do niego tak właśnie, ostrożnie, delikatnie, drżącą ręką...

3

Nazajutrz, idąc w stronę willi Cyryła, czułam się o wiele mniej pewna moich "możliwości intelektualnych". Chcąc uczcić odmianę, która się we mnie dokonała, piłam dużo przy kolacji i byłam więcej niż wesoła. Tłumaczyłam ojcu, że zamierzam zrobić magisterium z filozofii, spotykać się z ludźmi wykształconymi, że chcę być sławna i piekielnie nudna. A on będzie musiał użyć całej potęgi swojej reklamy, aż do skandalu włącznie, aby mnie lansować. Mieliśmy najdziwniejsze pomysły, z których zaśmiewaliśmy się oboje. Anna śmiała się również, choć mniej głośno, z pewną wyrozumiałością. Chwilami nie śmiała się wcale, gdy moje projekty reklamowe wykraczały nie tylko poza ramy literatury; ale nawet prostej przyzwoitości. Lecz ojciec był tak wyraźnie szczęśliwy, iż znów mogliśmy sobie opowiadać głupie kawały, że Anna nie reagowała na to. W końcu położyli mnie do łóżka, otulili kołdrą. Podziękowałam im wylewnie, pytając: "Co ja bym bez was robiła?" Ojciec powiedział, że naprawdę nie wie, a Anna zdawała się mieć na języku ostrą odpowiedź, lecz gdy błagałam, żeby mi ją zdradziła, i gdy pochyliła się nade mną – ogarnął mnie nagle sen. Wśród nocy źle się poczułam. Nigdy jeszcze nie obudziłam się z tak przykrym uczuciem jak

tego ranka. Idąc w stronę sosnowego lasu, w głowie miałam chaos, serce ledwie mi biło; nie widziałam nawet morza w porannym słońcu i unoszących się nad nim niespokojnie mew. Spotkałam Cyryła przy wejściu do ogrodu. Rzucił się ku mnie, objął, przytulił mocno do siebie, szepcząc bezładnie:

– Moje kochanie, byłem taki niespokojny... Tak długo... Nie wiedziałem, co się z tobą dzieje, czy ta kobieta cię nie krzywdzi... Nie przypuszczałem, że mogę być taki nieszczęśliwy... Co dzień po południu przejeżdżałem wzdłuż zatoczki raz, dwa razy... Nie wiedziałem, że cię tak kocham...

– Ja też nie wiedziałam – szepnęłam.

Rzeczywiście zaskoczyło mnie to i wzruszyło jednocześnie. Niestety, tak mnie mdliło, że nie mogłam mu okazać mego wzruszenia, choć bardzo chciałam.

– Jakaś ty blada! – powiedział. – Teraz ja będę się tobą opiekował, nie pozwolę cię dłużej maltretować.

Wyczułam w tych słowach bujną wyobraźnię Elzy. Spytałam Cyryła, co sądzi o niej jego matka.

– Przedstawiłem ją jako przyjaciółkę, sierotę – odpowiedział Cyryl. – Ona jest zresztą miła. Opowiedziała mi wszystko o tej kobiecie, To dziwne, taka subtelna, rasowa twarz... i te intryganckie sztuczki.

– Elza bardzo przesadziła – spróbowałam słabo zaprzeczyć. – Chciałam ci właśnie powiedzieć, że...

– Ja też chciałem ci coś powiedzieć – przerwał Cyryl. – Cęcylko, chcę się z tobą ożenić.

W pierwszej chwili przeraziłam się. Trzeba było coś zrobić, coś powiedzieć. Gdyby mnie jeszcze tak okropnie nie mdliło...

– Kocham cię – szeptał Cyryl z ustami wtulonymi w moje włosy. – Rzucam prawo, proponuję mi korzystną posadę... mój wujek... Mam dwadzieścia sześć lat, nie jestem już małym chłopcem, mówię poważnie. Zgadzasz się?

Szukałam rozpaczliwie jakiejś zręcznej wymijającej odpowiedzi. Nie chciałam wychodzić za niego. Kochałam go, ale nie chciałam za niego wychodzić. Nie chciałam w ogóle wychodzić za męża, byłam zmęczona.

– To niemożliwe – wyjąkałam. – Mój ojciec,...

– Z twoim ojcem ja podejmuję się wszystko załatwić – odpowiedział Cyryl.

– Anna się nie zgodzi – tłumaczyłam. – Uważa, że nie jestem dorosła. A jeśli ona powie "nie", ojciec się też nie zgodzi. Jestem taka zmęczona, Cyrylu, ostatnie przeżycia wykończyły mnie. Usiądźmy. O, idzie Elza!

Schodziła właśnie w szlafroku do ogrodu, świeża i promienna. Poczułam się przy niej niepozorna i chuda, oni oboje mieli wygląd taki zdrowy, kwitnący, pełen życia, co mnie jeszcze bardziej przygnębiało. Elza usadowiła mnie w fotelu z przesadną troskliwością, jak gdybym dopiero co wyszła z więzienia.

– Jak się ma Rajmund? – spytała. – Czy wie, że przyjechałam?

Miała na wargach szczęśliwy uśmiech kobiety, która przebaczyła, która ma nadzieję. Nie mogłam przecież powiedzieć Elzie, że ojciec zupełnie o niej zapomniał, a Cyrylowi, że nie chcę wyjść za niego za męża. Zamknęłam oczy. Cyryl poszedł po kawę. Elza mówiła, mówiła, uważała mnie najwidoczniej za osobę niezwykle subtelną i miała do mnie zaufanie. Kawa była bardzo mocna, aromatyczna, słońce grzało, poczułam się jakaś pokrzepiona.

– Dużo myślałam, ale nie znalazłam żadnego wyjścia – powiedziała Elza.

– Bo go nie ma – dodał Cyryl. – Na to zaślepienie, kompletną uległość nic nie poradzimy.

– Owszem – zaprotestowałam. – Jest sposób. Nie macie zupełnie fantazji.

Pochlebiało mi, że czekali z takim napięciem na to, co powiem, byli o dziesięć lat starsi ode mnie i żaden pomysł nie przyszedł im do głowy. Przybrałam obojętny wyraz twarzy.

– Tu trzeba podejść psychologicznie – powiedziałam.

Długo mówiłam tłumaczając im mój plan. Wysuwali te same zastrzeżenia, które ja miałam dzień przedtem, i obalając je odczuwałam żywą przyjemność. Wszystko to nie miało uzasadnienia, ale chcąc ich przekonać, ja z kolei podniecałam się własnymi słowami. Dowodziłam im, że to jest możliwe. Teraz powinnam była tylko wykazać, że nie trzeba tego robić, ale na to nie znalazłam równie logicznych argumentów.

– Nie podobają mi się te kombinacje – powiedział Cyryl. – Ale jeżeli to jest jedyny sposób, żebyśmy się mogli pobrać, to się zgadzam.

– To właściwie nie jest wina Anny – wtrąciłam.

– Wiesz bardzo dobrze, że jeśli ona z wami zostanie, wyjdiesz za mąż za tego, kogo ona ci wybierze – powiedziała Elza.

Była to może i prawda. Wyobrażałam już sobie ten dzień, gdy skończę dwadzieścia lat: Annę przedstawiającą mi młodego człowieka, który będzie miał dyplom, świetną przyszłość przed sobą, będzie inteligentny, zrównoważony i na pewno wierny. Trochę taki jak Cyryl, zresztą. Zaczęłam się śmiać.

– Nie śmiej się, proszę cię – powiedział Cyryl. – Obiecay mi, że będziesz zazdrosna, kiedy będę udawał, że kocham Elzę. Jak mogłaś wymyślić coś podobnego! Czy ty mnie w ogóle kochasz?

Mówił to stłumionym głosem. Elza oddaliła się dyskretnie. Patrzyłam w jego smagłą, pełną napięcia twarz, w jego ciemne oczy. Cyryl mnie kochał, to było dziwne uczucie. Wpatrywałam się w jego wargi nabrzmiałe krwią, tak bliskie moich. Nie czułam się już intelektualistką. Pochylił głowę i wargi nasze odnalazły się w pocałunku. Siedziałam z otwartymi oczami, jego usta, gorące i ciężkie, spoczywały na moich drżąc lekko... Przycisnął je mocniej, aby opanować to drżenie, i rozchylił... Pocałunek jego nabrał życia, stał się władczy, wprawny, zbyt wprawny... Zrozumiałam, że mam o wiele więcej zdolności do tego, żeby całować się z chłopcem w słońcu, niż żeby zrobić dyplom. Odsunęłam się trochę od niego, zdyszana.

– Cecylko, musimy się pobrać. Zagram tę komedię z Elzą.

Zadawałam sobie pytanie, czy moje kalkulacje są słuszne. Byłam duszą, reżyserem tej komedii. Każdej chwili mogę ją przecież przerwać.

– Masz jednak dziwne pomysły – dodał Cyryl ze swoim charakterystycznym uśmiechem. Unosił wtedy górną wargę, co nadawało mu wygląd bandyty, bardzo przystojnego bandyty...

– Pocałuj mnie – szepnęłam – pocałuj mnie prędko!

Tak oto puściłam w ruch tę komedię. Wbrew woli, z ciekawości, z lenistwa. Chwilami wolałabym, by motorem jej była złość i nienawiść. Żebym mogła przynajmniej winić siebie, a nie moje lenistwo, słońce, pocałunki Cyryla.

Po godzinie, dość znudzona, rozstałam się z aktorami, mojej konspiracyjnej komedii. Pozostał jeszcze cały szereg argumentów, którymi mogłam się pocieszać: mój plan mógł być zły, namiętność ojca do Anny mogła się okazać tak silna, że pozostanie jej wierny. Poza tym ani Cyryl, ani Elza nie mogli nic zrobić beze mnie. Zawsze znajdę jakiś powód, aby przerwać grę, jeżeli będzie mi się wydawało, że ojciec dał się na nią złapać. To było jednak zabawne spróbować, sprawdzić, czy moje psychologiczne teorie były słuszne, czy nie.

A przede wszystkim Cyryl mnie kochał. Cyryl chciał się ze mną ożenić. Ta myśl wystarczała, by uczynić mnie w pełni szczęśliwą. Jeśli zechce czekać na mnie rok czy dwa, aż będę całkiem dorosła, to zgodzę się. Widziałam

już siebie jako żonę Cyryla, śpiącą u jego boku, nie rozstającą się z nim nigdy. W każdą niedzielę będziemy chodzili na obiad z Anną i ojcem, szczęśliwą parą, a może nawet z matką Cyryla, co przyczyni się do stworzenia miłej atmosfery w czasie posiłku.

Annę spotkałam na tarasie, gdy schodziła na plażę, do ojca. Przywitała mnie ironiczną miną, jaką wita się ludzi, którzy poprzedniego dnia za dużo wypili. Spytałam ją, co mi chciała powiedzieć wieczorem, nim zasnęłam, ale śmiejąc się odmówiła odpowiedzi pod pretekstem, że to by mnie dotknęło.

Ojciec wyszedł z wody, barczysty i muskularny. Wydawał mi się wspaniały. Z kolei my z Anną poszliśmy się kąpać. Anna pływała ostrożnie z głową nad wodą, aby nie zamoczyć włosów. Potem wszyscy troje wyciągnęliśmy się na piasku, jedno obok drugiego, ja pośrodku. Leżeliśmy spokojnie, milcząc.

Wtedy to pojawiła się w drugim końcu zatoczki łódka pod pełnymi żaglami. Pierwszy dojrzał ją ojciec.

– Biedny Cyryl nie mógł już wytrzymać – powiedział śmiejąc się. – Anno, przebaczymy mu? To w gruncie rzeczy miły chłopak. Podniosłam głowę, czując niebezpieczeństwo.

– Co on robi? – zdziwił się ojciec. – Omija zatoczkę. Ależ... ależ on nie jest sam!

Z kolei Anna podniosła głowę. Żagłówka nadpłynęła właśnie i mijała nas. Rozpoznałam twarz Cyryla i błagałam go w duchu, aby się oddalił.

– Przecież... przecież to Elza! Co ona tu robi?! – krzyknął ojciec. Drgnąłam na te słowa, choć od paru minut ich oczekiwałam.

– Ta dziewczyna jest nieprawdopodobna! – powiedział ojciec do Anny. – Udało jej się widocznie zarzucić sieć na tego biednego chłopca i wkraść się w łaski starszej pani.

Ale Anna nie słuchała go. Patrzyła na mnie. Napotkałam jej spojrzenie i pełna wstydu opuściłam głowę na piasek. Położyła mi rękę na karku.

– Popatrz na mnie, Cecylko. Czy masz do mnie żal?

Otworzyłam oczy: pochyliła się nade mną, we wzroku jej był niepokój, niemal błaganie. Po raz pierwszy patrzyła na mnie tak, jak się patrzy na czującą i myślącą istotę, i to właśnie w dniu, w którym... Jęknęłam i odwróciłam gwałtownie głowę w stronę ojca, aby uwolnić się od jej ręki. Ale on wciąż patrzył na łódkę.

– Biedna maleńka! – usłyszałam głos Anny, cichy, łagodny. – Biedna, mała Cecylko, to trochę moja wina, nie powinnam była być taka nieustępliwa. Nie chciałam ci zrobić przykrości, wierzysz mi chyba?

Gładziła mnie czule po głowie, po karku. Nie poruszyłam się. Miałam takie wrażenie, jakie ma człowiek, gdy uniesiony falą piasek usuwa mu się spod nóg. Tak bardzo marzyłam o całkowitej porażce, o czułości Anny... Nigdy dotąd żadne uczucie, ani gniew, ani pragnienie, nie ośwładnęło mnie tak silnie. Jakże chciałam przerwać tę komedię, powierzyć Annie mój los, oddać się w jej ręce do końca życia... Nigdy jeszcze nie doznałam tak przemożnego, tak gwałtownego uczucia słabości... Zamknęłam oczy. Wydawało mi się, że serce moje zamiera.

4

Ojciec był po prostu tylko zdziwiony. Pokojówka wyjaśniła mu, że Elza przyjechała po walizki i zaraz odjechała. Nie wtem, dlaczego nie powiedziała mu nic o naszej rozmowie. Była to kobieta z tej okolicy, bardzo

sentymentalna, która zapewne miała dość romantyczne wyobrażenie o naszym życiu. Zwłaszcza że to ona przenosiła rzeczy, gdy zamienialiśmy się pokojami.

Ojciec i Anna, dręczeni wyrzutami sumienia, byli dla mnie dobrzy i troskliwi, co z początku wydawało się nie do zniesienia, ale niebawem zaczęło mi sprawiać przyjemność. Wcale natomiast nie było przyjemnie natykać się bez przerwy na Cyryla i Elzę, przytulonych do siebie i wyglądających na zakochaną parę, chociaż to ja sama byłam inicjatorką tego wszystkiego. Nie mogłam już jeździć żaglówką, ale za to widziałam, jak jeździła nią Elza z tak samo rozwianymi przez wiatr włosami jak niegdyś moje. Gdyśmy ich spotykali, bez trudu przybierałam minę zamkniętej w sobie i pozornie obojętnej. A spotykaliśmy ich wszędzie: w lasku, we wsi, na drodze. Anna zerkała na mnie i chcąc mnie pocieszyć, kładła mi rękę na ramieniu i mówiła o czymkolwiek. Czy wspomniałam, że Anna była dobra? Nie wiem, czy jej dobroć była subtelną formą inteligencji czy raczej obojętności, ale znajdowała zawsze właściwe słowo, właściwy gest i gdybym rzeczywiście cierpiała, nie znalazłabym w nikim lepszej podpory.

Poddawałam się więc biernie losowi, nie niepokojąc się zbyt, gdyż jak już powiedziałam, ojciec nie okazywał cienia zazdrości. Było to dla mnie dowodem jego przywiązania do Anny i drażniło mnie trochę, bo wykazywało bezskuteczność moich planów. Pewnego dnia, gdy wchodziłam z nim na pocztę, minęła nas Elza. Udawała, że nas nie widzi, a ojciec obejrzał się za nią jak za nieznaną i gwizdnął cicho przez zęby:

– Popatrz, jak ta Elza piekielnie wyładniała!

– Miłość jej służy – odpowiedziałam.

Rzucił mi zdziwione spojrzenie.

– Nie wydajesz się zbyt zmartwiona...

– No cóż – odparłam – są w tym samym wieku, to było nieuniknione.

– Gdyby nie Anna, na pewno nie byłoby nieuniknione... – był wściekły. – Nie wyobrażasz sobie chyba, że taki szczeniak mógłby mi zabrać kobietę, gdyby mi na niej zależało...

– Wiek gra tu jednak rolę – powiedziałam poważnie.

Wzruszył ramionami. Gdy wracaliśmy, zauważyłam, że był roztargniony, myślał może o tym, że Elza rzeczywiście była młoda i Cyryl także i że on sam, żeniąc się z kobietą w swoim wieku, przestawał należeć do kategorii mężczyzn, którzy nie mają określonej daty urodzenia. Mimo woli odczułam coś na kształt triumfu. Lecz gdy zobaczyłam nieznaczne zmarszczki wokół oczu i ust Anny, byłam zła na siebie. Tak łatwo jednak było poddawać się impulsom, a potem ich żałować...

Minął tydzień. Cyryl i Elza, nie wiedząc, jak sprawy stoją, oczekiwali mnie pewnie każdego dnia. Nie miałam odwagi iść do nich: żądałby ode mnie może jakichś nowych pomysłów, a tego nie chciałam. Zresztą po południu szłam do swojego pokoju, rzekomo, aby pracować. W rzeczywistości nic nie robiłam. Znalazłam jakąś książkę o jogach i pochłaniałam ją namiętnie i z przekonaniem. Czasami napadał mnie szaleńczy śmiech, ale tłumiałam go w obawie, żeby Anna nie usłyszała. Wmawiałam w nią bowiem, że pracuję bez wytchnienia. Grałam wobec niej rolę osoby zawiedzionej w miłości, która czerpie pociechę w nadziei, iż pewnego dnia stanie się wielką uczoną. Miałam wrażenie, że budziłam tym jej szacunek; czasem nawet cytowałam przy stole Kanta, co wyraźnie doprowadzało do rozpaczyny ojca.

Któregoś popołudnia owinęłam się kilkoma ręcznikami; aby wyglądać bardziej na Hinduskę, oparłam prawą stopę na lewym udzie i wpatrywałam się nieruchomo w lustro, nie dla przyjemności, tylko w nadziei, że w ten sposób

osiągnę wyższy stopień doskonałości jogów. W tej chwili ktoś zapukał. Myślałam, że to pokojówka, a ponieważ jej nic już nie dziwiło, krzyknęłam, że może wejść.

Była to Anna. Stała chwilę nieruchomo w drzwiach, uśmiechając się.

– W co się bawisz, Cecylko?

– W jogów – odpowiedziałam. – Ale to nie jest zabawa, to jest hinduska filozofia.

Podeszła do stołu i wzięła do ręki moją książkę. Zaniepokoiłam się. Książka była otwarta na stronie setnej, a pozostałe zabazgrane moimi uwagami w rodzaju: "Niewykonalne!" albo "Zbyt męczące!"

– Jesteś bardzo sumienna – powiedziała Anna. – A co się stało z tą sławetną rozprawą o Pascalu, o której nam tyle opowiadałaś?

Rzeczywiście zachciało mi się kiedyś przy stole roztrząsać jakieś zdanie Pascala, udawałam przy tym, że nad nim długo myślałam i pracowałam. Jasne, że nigdy nie napisałam słowa na ten temat. Siedziałam dalej bez ruchu. Anna przyjrzała mi się uważnie i domyśliła się wszystkiego.

– Że nie pracujesz i udajesz przed lustrem pajaca, to twoja sprawa – powiedziała. – Ale że sprawia ci jeszcze przyjemność okłamywanie nas, to oburzające! Dziwiły mnie zresztą bardzo twoje intelektualne poczynania!...

Wyszła, a ja siedziałam dalej, owinięta w ręczniki, jak skamieniała. Nie rozumiałam, dlaczego Anna nazwała to "kłamstwem". Przecież mówiłam o tej rozprawie tylko dlatego, żeby jej sprawić przyjemność, a ona nagle miażdżyła mnie swoją pogardą. Przywykłam już do jej nowego stosunku do mnie i ten zimny, upokarzający sposób, w jaki okazała mi lekceważenie, wzbudził we mnie wściekłość. Zrzuciłam z siebie ręczniki, włożyłam spodnie i starą bluzkę i wybiegłam. Upał był nie do zniesienia, ale mimo to biegłam, gnana wściekłością, tym większą, że wcale nie byłam pewna, czy się jej nie wstydzę. Dobięłam do willi Cyryla i zdyszana zatrzymałam się na progu. W popołudniowym słońcu domy wydawały się dziwnie dalekie i milczące, jakby strzegły swoich tajemnic. Weszłam na górę, do pokoju Cyryla, pokazał mi go, gdy byliśmy z wizytą u jego matki. Otworzyłam drzwi: spał, wyciągnięty w poprzek łóżka, z głową opartą na ramieniu. Przez chwilę patrzyłam na niego. Po raz pierwszy wydał mi się taki rozczulająco bezbronny. Zawołałam go cichutko. Otworzył oczy i ujrawszy mnie usiadł.

– To ty? Skąd się tu wzięłaś?

Dałam mu znak ręką, żeby nie mówił tak głośno. Gdyby jego matka przyszła i zastała mnie u niego w pokoju, mogłaby pomyśleć... Zresztą kto by nie pomyślał!... Ogarnęło mnie nagle przerażenie i zawróciłam do drzwi.

– Dokąd idziesz!?! – krzyknął Cyryl. – Wróć... Cecylko!

Schwycił mnie za ramię i śmiejąc się przytrzymał. Odwróciłam się i spojrzałam na niego. Zbladł. Ja też chyba byłam blada, bo puścił moją rękę. Ale zaraz objął mnie i przycisnął do siebie. "To musiało nadejść, to musiało nadejść" – tłukło mi się po głowie. A potem... odwieczny krąg miłosnych wzruszeń: strach połączony z pragnieniem, czułość i namiętność, i ta triumfująca, poprzedzona ostrym bólem rozkosz. Miałam szczęście, a Cyryl konieczną w tej sytuacji delikatność, aby zaznać jej już tego pierwszego dnia.

Zostałam u niego godzinę, jak ogłuszona. Wszystko było takie zadziwiające. Zawsze słyszałam, że miłość jest rzeczą łatwą; sama mówiłam o niej bez ogródek, z nieświadomością właściwą mojemu wiekowi, a teraz wydawało mi się, że nigdy już nie potrafię wyrażać się o niej brutalnie i obojętnie. Cyryl, leżąc obok mnie, mówił, że chce się ze mną ożenić i mieć mnie przy sobie całe życie. Moje milczenie zaniepokoiło go; podniosłam się, popatrzyłam na niego i zawołałam cichutko:

– Mój kochanku!

Zbliżył swoją twarz do mojej. Przycisnęłam usta do jego szyi, w miejscu gdzie ciągle jeszcze żywo pulsowała krew, i wyszeptalam:

– Mój kochany Cyrylu, mój kochany!

Nie wiem, czy to, co czułam dla niego wtedy, to była miłość – nigdy nie byłam zbyt stała i nie zależę mi na tym, aby uważać się za inną, niż jestem – ale w tej chwili kochałam go bardziej niż siebie samą. Dałabym życie za niego. Gdy odchodziłam, zapytał mnie, czy mam do niego żal. To mnie rozśmieszyło. Żal za to szczęście, które mi dał!...

Wolnym krokiem, wyczerpana i ociężała, wróciłam przez las do domu. Prosiłam Cyryła, aby mnie nie odprowadzał. To by było zbyt niebezpieczne. Obawiałam się, że na mojej twarzy, w podkrążonych oczach, w nabrzmiałych wargach i w drzeniu całego ciała można będzie wyczytać ślady niedawnej rozkoszy. Przed domem, na leżaku, siedziała Anna i czytała. Przygotowałam sobie szereg świetnych wykrętów na wytłumaczenie mojej nieobecności, ale Anna nie zapytała mnie o nic. Ona nie pytała nigdy. Siadłam więc obok niej w milczeniu, bo przypomniałam sobie, żeśmy się niedawno posprzeczały. Nie poruszałam się, z półprzymkniętymi oczami wsłuchiwałam się w rytm mego oddechu i obserwowałam drzenie palców. Chwilami, na wspomnienie ciała Cyryła, na wspomnienia niektórych momentów tego popołudnia, krew odpływała mi z serca.

Wzięłam ze stołu papierosa i potarłam zapałkę o pudełko. Zgasła. Zapaliłam drugą ostrożnie, bo nie było wiatru, tylko drżała mi ręka. I ta zgasła, gdy przytknęłam ją do papierosa. Zaklęłam pod nosem i wyjęłam trzecią. I wtedy, nie wiem dlaczego, ta zapałka nabrała w moich oczach specjalnego znaczenia. Może dlatego, że Anna, wyrwana nagle ze swojej obojętności, patrzyła na mnie uważnie, bez uśmiechu. W tym momencie przestał istnieć czas i wszystko dookoła – istniała tylko ta zapałka, palce, w których ją trzymałam, szare pudeleczek i wzrok Anny. Serce zaczęło mi bić dziko i ciężko, zacisnęłam palce na zapałce, zapaliła się, lecz gdy pochyliłam ku niej szybkim ruchem twarz, zgasła w zetknięciu z papierosem. Upuściłam na ziemię pudełko i zamknęłam oczy. Czułam na sobie ciężki, pytający wzrok Anny. Modliłam się w duchu, aby coś się stało, aby skończyło się to oczekiwanie. Poczulałam ręce Anny unoszące moją twarz. Zacisnęłam powieki w strachu, że dojrzy moje spojrzenie i łzy. Płakałam, bo byłam zmęczona, niezręczna i szczęśliwa. I wtedy, jakby zrezygnowała ze wszystkich pytań, Anna ruchem kojącym, zapewniającym, że nie wie o niczym, pogładziła mnie po twarzy. Potem włożyła mi w usta zapalonego papierosa i pogрузzyła się znów w swojej lekturze.

Nadałam temu jej gestowi symboliczny sens, próbowałam mu taki sens nadać. Ale dziś, gdy mi czasem zabraknie zapałek, odżywa we mnie wspomnienie tej dziwnej chwili, moich gestów tak zupełnie nie wyrażających tego, co przeżywałam, ciężar spojrzenia Anny i ta pustka wokół mnie, ta ogromna pustka.

5

Epizod, o którym wspomniałam, nie miał jednak pozostać bez następstw. Jak niektórzy ludzie bardzo powściągliwi w reakcjach i bardzo pewni siebie, Anna nie uznawała kompromisów. A jednak ta twarda ręka gładząca

moją twarz, ten czuły gest był pewnym ustępstwem. Anna domyśliła się czegoś, mogła skłonić mnie do wyznania wszystkiego, ale w ostatniej chwili zwyciężyło w niej uczucie litości lub może obojętność. Gdyż opieka nade mną była dla niej równie uciążliwa jak tolerowanie moich słabości. Jedynie poczucie obowiązku skłaniano ją do przyjęcia roli opiekunki i wychowawczyni, poślubiając ojca zobowiązała się tym samym do troski o mnie. Wolałabym, żeby jej wieczne niezadowolenie ze mnie, jeżeli mogę tak to nazwać, miało swoje źródło w jakimś bardziej powierzchownym uczuciu albo w tym, że ją denerwowałam; szybciej by się wtedy do tego przyzwyczaiła. Przyzwyczajamy się łatwiej do czyichś wad, gdy nie czujemy się w obowiązku ich zwalczać. Za pół roku zmęczyłaby się mną i okazywałaby mi tylko coś w rodzaju życzliwej pobłażliwości, a właśnie tego byłoby mi trzeba. Ale to nie nastąpi. Anna będzie się czuła za mnie odpowiedzialna i w pewnym sensie będzie odpowiedzialna, gdyż mój charakter nie był jeszcze zupełnie uformowany i w dodatku byłam uparta.

Była więc zła na siebie i dawała mi to odczuć. W parę dni później rozgorzała przy kolacji dyskusja, ciągle na temat tej nieznośnej nauki podczas wakacji. Zachowałam się niemal bezczelnie, tak że nawet ojciec się oburzył, i w końcu Anna zamknęła mnie na klucz w moim pokoju, nie wymawiając przy tym ani jednego głośniejszego słowa. Nie wiedziałam, że to zrobiła. Zachciało mi się pić, podeszłam do drzwi i spróbowałam je otworzyć, ale drzwi nie ustąpiły, i wtedy zrozumiałam, że są zamknięte na klucz. Nikt mnie jeszcze nigdy w życiu nie zamknął, ogarnęła mnie panika, prawdziwa panika. Podbiegłam do okna, ale nie było żadnej możliwości wydostania się tamtędy. Odwróciłam się, prawie oszalała ze strachu, i rzuciłam się na drzwi, rozbijając sobie boleśnie ramię. Z zaciśniętymi zębami próbowałam pilnikiem wyłamać zamek. Nie chciałam krzyczeć, by mi otworzono. Stałam pośrodku pokoju, z pustymi rękami, nieruchomo, i starając się zebrać myśli czułam, jak ogarnia mnie jakiś wielki spokój. Po raz pierwszy zetknęłam się z okrucieństwem; miałam uczucie, jakby jakaś obręcz zaciskała się coraz bardziej wokół mnie. Wyciągnęłam się na łóżku i ułożyłam dokładny plan zemsty. Moja wściekłość była nieproporcjonalna do przyczyny, która ją wywołała; wstawałam dwa czy trzy razy w ciągu popołudnia, żeby wyjść z pokoju, i ze zdziwieniem stwierdzałam, że drzwi są zamknięte.

O szóstej przyszedł ojciec, by mnie uwolnić. Podniosłam się machinalnie, gdy wszedł do pokoju. Patrzył na mnie bez słowa, a ja uśmiechnęłam się do niego, też machinalnie.

– Czy chcesz, żebyśmy porozmawiali? – spytał.

– O czym? – odpowiedziałam. – Ty tego nie znosisz i ja także. Ten rodzaj wyjaśnień, który do niczego nie prowadzi...

– To prawda – odetchnął z ulgą. – Musisz być miła dla Anny, cierpliwa.

Te słowa zdziwiły mnie: ja miałam być cierpliwa dla Anny... Ojciec odwracał zupełnie problem. W rzeczywistości uważał Annę za kobietę, którą narzucał swojej córce. A było przecież zupełnie przeciwnie. Nie należało tracić nadziei.

– Byłam bardzo nieprzyjemna – powiedziałam. – Przepraszę Annę.

– Czy... hm... czy jesteś szczęśliwa?

– Ależ tak – odparłam lekko. – A poza tym, jeśli będzie za dużo nieporozumień między Anną i mną, to trochę wcześniej wyjdę za mąż. To wszystko.

Wiedziałam, że moje słowa sprawią mu przykrość.

– Nie trzeba brać tego pod uwagę. Nie jesteś Królową Śnieżką... Łatwo przyszedłoby ci tak prędko mnie

porzucić? Tylko dwa lata byliśmy razem...

Ta myśl była dla mnie równie bolesna jak dla niego. Widziałam już tę chwilę, gdy będę płakać na jego ramieniu i mówić o utraconym szczęściu i przesadnej wrażliwości. Ale nie chciałam się do tego przyznać.

– E, przesadzam mocno, wiesz. W gruncie rzeczy rozumiemy się z Anną doskonale. Przy wzajemnych ustępstwach...

– No tak – powiedział – oczywiście.

Myślał chyba tak jak i ja, że te ustępstwa nie będą wzajemne, lecz wyłącznie z mojej strony.

– Zdaję sobie doskonale sprawę, że Anna ma zawsze rację, rozumiesz? – powiedziałam. – Jej życie jest o wiele bardziej udane niż nasze, ma o wiele więcej sensu...

Ojciec zrobił mimowolny ruch, jakby chciał zaprotestować, ale nie zwróciłam na to uwagi.

– Za miesiąc czy dwa przyswoję sobie całkowicie poglądy Anny. Nie będzie już między nami głupich sprzeczek. Trzeba mieć tylko trochę cierpliwości.

Patrzył na mnie, wyraźnie zdezorientowany i przerażony. Tracił kompana i powiernika swoich przyszłych wybryków, tracił też w pewnym sensie jakąś przeszłość.

– Nie trzeba w niczym przesadzać – powiedział słabo. – Przyznaję, że prowadziliśmy tryb życia nieodpowiedni może dla twojego ani... hm... dla mojego wieku, ale to nie było przecież życie głupie czy nieszczęśliwe. Nie... nie. W gruncie rzeczy nie byliśmy w ciągu tych dwóch lat... hm... ani smutni, ani wykołejeni. Nie trzeba się wszystkiego w ten sposób wyrzekać tylko dlatego, że Anna ma odmienny pogląd na sprawy.

– Nie trzeba się wyrzekać, ale trzeba zrezygnować – powiedziałam z przekonaniem.

– Niewątpliwie – stwierdził smutno i zeszedł na dół.

Bez najmniejszego zakłopotania przeprosiłam Annę. Powiedziała mi, że to niepotrzebne i że powodem naszej sprzeczki był zapewne upał. Byłam obojętna i wesoła.

Tak jak umówiliśmy się, spotkałam Cyryla w lasce. Powiedziałam mu, co należy zrobić. Słuchał z podziwem pomieszanym z lękiem. Potem objął mnie, ale było już późno i musiałam wrócić do domu. Byłam zdziwiona, jak trudno mi przyszło z nim się rozstać. Jeżeli szukał sposobu, aby mnie zatrzymać, to go znalazł. Przytulona do niego rozpłomieniałam się w tym uścisku. Całowałam Cyryla namiętnie, chciałam mu sprawić ból, zostawić po sobie jakiś ślad, aby ani na chwilę nie mógł zapomnieć mnie tego wieczoru, aby musiał śnić o mnie tej nocy. Bo noc bez niego, bez jego delikatności i doświadczenia, bez jego gwałtownej namiętności i czułych pieszczot będzie się dłużyła w nieskończoność.

6

Nazajutrz rano wyciągnęłam ojca na spacer. Rozmawialiśmy wesoło o rzeczach błahych. Gdy wracaliśmy do domu, zaproponowałam, aby pójść przez sosnowy las. Było dokładnie wpół do jedenastej, byłam punktualna. Ojciec szedł przede mną wąską drogą, pełną ciernistych krzaków i odgarniał je, abym sobie nie podrapała nóg. Gdy przystanął, zrozumiałam, że ich zobaczył. Cyryl i Elza leżeli uśpieni na sosnowym igliwiu, tworząc sielankowy obraz pełnego szczęścia. Co prawda to ja sama dałam im dokładne wskazówki, ale gdy zobaczyłam ich tak leżących obok

siebie, poczułam ból w sercu. Czyż miłość Elzy do ojca i miłość Cyryla do mnie mogła odmienić fakt, że byli oboje jednakowo piękni i młodzi, i tak bliscy siebie... Zerknęłam na ojca. Stał bez ruchu, błądy, nie spuszczał oka z tej pary. Wzięłam go za rękę.

– Nie budźmy ich, chodźmy stąd.

Rzucił ostatnie spojrzenie na Elzę. Leżała na wznak w całej krasie swego młodego, opalonego na brąz ciała i rudych włosów, na ustach jej błąkał się uśmiezek młodej nimfy, schwytej wreszcie... Ojciec odwrócił się na pięcie i ruszył naprzód wielkimi krokami.

– Dziwka! – szepnął. – Dziwka!

– Dlaczego tak mówisz? Jest przecież wolna, nie?

– Co z tego! A tobie było przyjemnie zobaczyć Cyryla w jej objęciach?

– Nie kocham go już – odpowiedziałam.

– Ja też nie kocham Elzy! – krzyknął, wściekły. – Ale to mnie jednak obchodzi. W końcu... ja., żyłem z nią przecież. To jest o wiele gorsze.

Wiedziałam, że to było o wiele gorsze! Na pewno, tak samo jak ja, miał ochotę podbiec, rozdzielić ich, odebrać swoją własność, to, co było niegdyś jego własnością.

– Gdyby cię Anna słyszała!...

– Co? Gdyby mnie Anna słyszała?... Oczywiście ona by niezrozumiała albo byłaby oburzona. To normalne. Ale ty? Ty jesteś przecież moją córką! Ty mnie już nie rozumiesz, ty też jesteś oburzona?

Jakże łatwo było kierować jego myślami. Znałam go tak dobrze, że aż mnie to przerażało.

– Nie jestem oburzona – tłumaczyłam. – Ale trzeba ostatecznie widzieć rzeczy takimi, jakie są. Elza ma krótką pamięć, Cyryl jej się podoba, dla ciebie jest stracona. Zwłaszcza po tym, co jej zrobił. Takich rzeczy się nie wybaczają!..

– Gdybym chciał... – zaczął ojciec i urwał z przestachem.

– Nie udałoby ci się – powiedziałam z przekonaniem, jakby było rzeczą zupełnie naturalną mówić z nim o tym, czy ma szansę odzyskania Elzy.

– Ależ ja o tym wcale nie myślę – odparł, próbując być znowu rozsądny.

– Oczywiście – powiedziałam wzruszając ramionami.

Znaczyło to; “Wykluczone, mój biedaku, wyszedłeś z obiegu!” W drodze powrotnej nie odezwał się do mnie więcej ani słowem. Gdy weszliśmy do domu, objął Annę i przymknawszy oczy trzymał ją długą chwilę przytuloną do siebie. Podała się tej pieszczocie zdziwiona, uśmiechnięta. Wyszedłam z pokoju i drżąc ze wstydu oparłam się o ścianę w korytarzu.

O drugiej usłyszałam cichy gwizd Cyryla i zeszłam na plażę. Wziął mnie od razu do łódki i odbił od brzegu. Wokoło było pusto, nikomu nie chciało się wychodzić z domu w taki upał. Gdy znaleźliśmy się na pełnym morzu, Cyryl opuścił żagiel i odwrócił się do mnie.

– Dziś rano... – zaczął.

– Przestań! – przerwałam. – Och, przestań!

Nie powiedzieliśmy sobie nic więcej.

Przewrócił mnie łagodnie na dno łódki. Pieszczoty nasze były niezręczne, pośpieszne, ciała zalewał pot...

Łódka rytmicznie kołysała się pod nami. Patrzałam w słońce stojące wprost nade mną. I nagle usłyszałam władczy i czuły szept Cyryla... Słońce oderwało się od nieba, rozprysło i runęło na mnie. Gdzie byłam? Na dnie morza, na dnie czasu, na dnie rozkoszy... Zawołałam głośno Cyryla. Nie odpowiedział mi, nie potrzebowałam odpowiedzi.

A potem świeżość slonej wody... Śmieliśmy się oboje, olśnieni, rozleniwieni, wdzięczni. Nasze było słońce i morze, śmiech i miłość. Czy przeżyjemy jeszcze kiedy takie chwile jak dziś i czy odnajdziemy w nich ten sam blask i to samo natężenie, spotęgowane teraz strachem i wyrzutami sumienia?

Oprócz fizycznej, bardzo realnej przyjemności, jaką dawała mi miłość, odczuwałam coś w rodzaju intelektualnej rozkoszy mogąc o niej myśleć. Słowa "kochać się" mają jakiś swój specyficzny, bardzo dosłowny urok, niezależny od ich sensu. Połączenie nic nie znaczącego słówka "się" z oderwanym, poetycznym słowem "kochać" zachwycało mnie. Dawniej mówiłam o tym bez najmniejszego wstydu, bez najmniejszego zażenowania, nie dostrzegając całego powabu i uroku tych słów. Teraz zauważyłam, że staję się wstydliva. Spuszczałam oczy, gdy ojciec patrzył na Annę zbyt natarczywie, gdy ona śmiała się tym swoim nowym, gwałtownym i nieprzyzwoitym śmiechem, który sprawiał, że oboje z ojcem bledliśmy i odwracaliśmy głowy. Gdybyśmy powiedzieli Annie, jaki był ten jej śmiech, nie uwierzyłaby nam. Nie zachowywała się w stosunku do ojca jak kochanka, ale jak przyjaciółka, jak czuła przyjaciółka. Ale w nocy na pewno... Zabraniałam sobie podobnych myśli, nie znosiłam ich, bo budziły we mnie niepokój.

Mijały dni. Zapominałam trochę o Annie, o ojcu, o Elzie. Miłość sprawiła, że byłam uprzejma, spokojna, żyłam jak w innym świecie, śniąc z otwartymi oczami. Cyryl spytał mnie, czy nie boję się, że mogę mieć dziecko. Odpowiedziałam, że zdaję się całkowicie na niego, i wydawało się, że uważał to za zupełnie naturalne. Dlatego może oddałam mu się tak łatwo; wiedziałam, że gdybym miała dziecko, to on czułby się winny i wziąłby wszystko na siebie. Zdejmował ze mnie ciężar, którego nie znosiłam: odpowiedzialność. Zresztą trudno mi było wyobrazić sobie siebie w odmiennym stanie z tym twardym, chudym ciałem... Po raz pierwszy byłam zadowolona z mojej chłopcęcej figury.

Ale Elza niecierpliwiła się. Zasypywała mnie bez przerwy pytaniami. Bałam się stale, że może mnie ktoś przychwycić w towarzystwie jej lub Cyryla. Urządzała się tak, by być zawsze tam, gdzie był ojciec, natykał się na nią wszędzie. Cieszyły ją wtedy te wyimaginowane zwycięstwa i źle tłumione, jak twierdziła, objawy namiętności z jego strony. Dziwiło mnie, że ta dziewczyna, przywykła do krótkotrwałej, pospiesznej miłości, zawsze związanej z pieniędzmi, stała się taka romantyczna, tak czuła na każdy drobiazg, ruch, spojrzenie. Prawda, że nie była przyzwyczajona do tak subtelnej roli i ta, którą teraz grała, musiała jej się wydawać szczytem psychologicznego wyrafinowania.

Jeśli nawet myśl o Elzie dręczyła ojca coraz uparciej, Anna zdawała się tego nie dostrzegać. Był dla niej bardziej czuły i nadszakał jej więcej niż kiedykolwiek. Przerazało mnie to, gdyż przypisywałam jego zachowanie podświadomym wyrzutom sumienia. Najważniejsze było to, że podczas najbliższych trzech tygodni nic się jeszcze nie zdarzyło. Wrócimy do Paryża, Elza też wróci i jeśli ojciec i Anna nie zmienią postanowienia, pobiorą się. W Paryżu będzie Cyryl, i Anna nie będzie mogła przeszkodzić mi w widywaniu go, tak jak tu nie mogła przeszkodzić mi go kochać. W Paryżu Cyryl miał kawalerkę, nie mieszkał z matką. Wyobrażałam już sobie otwarte okno, błękitno-różowe niebo, to niezwykle niebo Paryża, gruchające na parapecie gołębie i siebie z Cyrylem na wąskim łóżku...

Kilka dni potem ojciec otrzymał od jednego z naszych przyjaciół kartkę z zaproszeniem do Saint Raphael na kieliszek aperitif. Opowiedział nam o tym natychmiast, zachwycony okazją wyrwania się na krótko z tej dobrowolnej, lecz i trochę przymusowej samotności, w której żyliśmy. Zawiadomiłam więc Elzę i Cyryła, że będziemy o siódmej w barze "Słonecznym" i że jeśli chcą przyjechać, to nas tam spotkają. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności Elza знаła owego przyjaciela ojca, co jeszcze bardziej wzmogło jej chęć, by się z nim spotkać. Przewidywałam komplikacje i usiłowałam jej to wyperswadować. Ale na próżno!

– Karol Webb mnie uwielbia – powiedziała z dziecinną prostotą. – Jak mnie zobaczy, na pewno będzie namawiał Rajmunda, żeby do mnie wrócił.

Cyryłowi było zupełnie wszystko jedno, czy pojedzie do Saint Raphael, czy nie. Dla niego najważniejsze było być tam, gdzie ja jestem. Czytałam to w jego spojrzeniu i nie mogłam nie odczuwać dumy z tego powodu.

Wyruszyliśmy więc samochodem po południu, koło szóstej. Jechaliśmy wozem Anny. Lubiłam ten jej wóz: był to ciężki amerykański kabriolet, który nadawał się bardziej do celów reklamowych domu mój, niż odpowiadał jej gustom. Za to mnie się podobał: poddawał się miękko na wirażach, był pełen błyszczących przedmiotów, cichy i jakby daleki od świata. Siedzieliśmy w dodatku wszyscy troje z przodu, a nigdzie nie byłam równie przyjaźnie usposobiona do ludzi jak w samochodzie. Siedząc tak ściśnięci, poddawaliśmy się tej samej przyjemności, zdani na szybkość, wiatr, może na wspólną śmierć. Anna, niby symbol rodziny, którą mieliśmy niebawem tworzyć, prowadziła samochód. Nie jechałam jej wozem od czasu pamiętnego wieczoru w Cannes i to mnie rozmarzyło.

W umówionym barze spotkaliśmy się z Karolem Webbem i jego żoną. Karol zajmował się reklamą teatru, a jego żona wydawaniem pieniędzy, które on zarabiał. Wydawała je zresztą z zawrotną szybkością, i to na młodych ludzi. Całkowicie pochłonięty myślą, jak związać koniec z końcem, Webb był wciąż w pogoni za pieniędzmi. Stąd jego niepokój i pośpiech graniczący prawie z nieprzyzwoitością. Żył długi czas z Elzą, gdyż mimo swej urody nie była specjalnie chciwa na pieniądze, a nonszalancja, z jaką traktowała te sprawy, podobała mu się.

Żona Webba była kobietą złośliwą. Anna nie знаła jej i widziałam, jak jej piękna twarz przybrała teraz wyraz pogardliwy, szydery, który zwykła przybierać w towarzystwie. Karol Webb mówił dużo jak zawsze, rzucając badawcze spojrzenia na Annę. Najwidoczniej zastanawiał się, co ona robi w towarzystwie tego uwodziciela, Rajmunda, i jego córki. Ogarniała mnie duma na myśl, że niebawem dowie się o wszystkim. Gdy zamilkł na chwilę, aby zaczerpnąć oddechu, ojciec pochylił się ku niemu i oświadczył niespodziewanie:

– Wiesz, stary, mam dla ciebie nowinę: piątego października żenię się z Anną.

Webb patrzył to na niego, to na nią, osłupiały ze zdumienia. Bawiło mnie to. Jego żona była zupełnie zbita z tropu: miała zawsze słabość do ojca.

– Winszuję! – krzyknął w końcu Webb stentorowym głosem. – To wspaniały pomysł! Że też się pani nie boi obarczać takim nicponiem! Pani jest wprost niezwykła! Kelner! Musimy to oblać!

Anna uśmiechnęła się spokojnie i swobodnie. W tym momencie spostrzegłam, że twarz Webba rozpromieniła się, i nie odwróciłam głowy.

– Elza! Mój Boże, to Elza Mackenbourg! Nie zauważyła mnie. Rajmundzie, widziałeś, jak ta dziewczyna

wyładniała?

– Prawda? – powiedział ojciec tonem szczęśliwego posiadacza.

Ale połapał się od razu i wyraz jego twarzy zmienił się nagle.

Anna nie mogła nie zwrócić uwagi na ton, jakim to było powiedziane. Gwałtownym ruchem odwróciła głowę w moją stronę, lecz gdy otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, szepnęłam nachylając się ku niej:

– Anno, robi pani furorę swoją elegancją. Tam siedzi jakiś pan, który nie spuszcza z pani oczu.

Powiedziałam to tajemniczym szeptem, to znaczy dość głośno, aby ojciec usłyszał. Odwrócił się natychmiast i spojrzał w tamtą stronę.

– Tego nie lubię – powiedział i wziął Annę za rękę.

– Jacy oni czarujący! – wykrzyknęła z ironią pani Webb. – Karolu, nie powinieneś być przeszkadzać tej zakochanej parze. Wystarczyło zaprosić małą Cecylkę.

– Mała Cecylka nie byłaby przyjechała – odpowiedziałam szorstko.

– A dlaczego to? Czyżby pani miała amantów wśród rybaków?

Widziała mnie raz rozmawiającą na ławce z konduktorem autobusu i od tej pory traktowała jak kogoś, kto się zdeklasował, a w każdym razie w jej pojęciu “zdeklasował”.

– A, tak – powiedziałam z udaną wesołością.

– I często pani łowi z nimi ryby?

Wydawało jej się, że była dowcipna, to był szczyt wszystkiego. Ogarniała mnie coraz większa wściekłość.

– Makrele nie są moją specjalnością, ale chętnie łowię ryby – odparłam.

Nastąpiła chwila milczenia. Nagle zabrzmiał głos Anny, jak zwykle opanowany.

– Rajmundzie, czy chciałbyś poprosić kelnera o słomkę? Jest konieczna do soku z pomarańcz.

Karol Webb natychmiast podjął temat i zaczął rozprawać o napojach chłodzących. Po sposobie, w jaki ojciec wpatrywał się w kieliszek, rozpoznałam, że tłumiał śmiech. Anna rzuciła mi błagalne spojrzenie. Zaraz potem postanowiliśmy zjeść razem kolację, jak zwykle robią ludzie, którzy się omal nie posprzecali.

Przy jedzeniu piłam dużo. Chciałam zatrzeć w pamięci wyraz twarzy Anny, niespokojny, gdy obserwowała ojca, i jakby wdzięczny, gdy spojrzenie jej padało na mnie. Żona Webba robiła co pewien czas złośliwe uwagi pod moim adresem, a ja odpowiadałam jej promiennym uśmiechem. To wyprowadzało ją z równowagi. Stawała się coraz bardziej agresywna. Anna dawała mi znaki, abym się nie dała prowokować. Nie znosiła publicznych scen, a czuła, że pani Webb skłonna jest wywołać małą awanturkę. Jeśli idzie o mnie, byłam do tego przyzwyczajona, w naszym środowisku takie rzeczy zdarzały się często. Dlatego też zupełnie spokojnie słuchałam jej złośliwości.

Po kolacji poszliśmy na dansing. Niedługo po nas zjawili się tam Elza i Cyryl. Elza zatrzymała się w drzwiach, powiedziała coś głośno do szatniarki i wkroczyła na salę, a za nią Cyryl. Pomyślałam, że zachowuje się raczej jak prostytutka niż jak zakochana kobieta, ale była tak ładna, że mogła sobie na to pozwolić.

– Kto to jest ten fircyk? – spytał Karol Webb. – Jakiś młody chłopak.

– Jest zakochany – szepnęła jego żona. – Miłość mu służy...

– Też pomysł! – rzucił gwałtownie ojciec. – Żadna miłość. To po prostu zwykły flirt.

Patrzyłam na Annę. Oglądała Elzę spokojnie, obojętnie, tak jak oglądała modelki, demonstrujące suknie w jej magazynie, albo bardzo młode kobiety – bez najmniejszej złośliwości. Przez chwilę podziwiałam ją gorąco za to, że

nie była ani trochę małostkowa ani zazdrosna. Nie wyobrażałam sobie zresztą, by mogła być zazdrosna o Elzę, ona, sto razy piękniejsza, wytworniejsza od niej. Byłam zalana, więc powiedziałam jej to. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Jestem ładniejsza od Elzy? Myślisz tak naprawdę?

– Bez najmniejszej wątpliwości.

– To zawsze przyjemnie usłyszeć. Ale ty znów za dużo pijesz. Daj mi swój kieliszek. Nie jest ci bardzo przykro widzieć tam twojego Cyryla? On się zresztą nudzi.

– To mój kochanek – odpowiedziałam wesoło.

– Jesteś kompletnie pijana. Na szczęście trzeba już jechać do domu.

Z prawdziwą ulgą rozstaliśmy się z Webbami. Z całą powagą mówiłam do pani Webb: "Droga pani". Ojciec siadł do kierownicy, a ja oparłam głowę o ramię Anny.

Pomyślałam, że wolę ją od Webbów i od tych wszystkich ludzi, z którymi spotykaliśmy się zazwyczaj. Była lepsza, inteligentniejsza, miała więcej godności. Ojciec się prawie nie odzywał. Przeżywał na pewno w myślach spotkanie z Elzą.

– Ona śpi? – spytał Anny.

– Jak mała dziewczynka. Stosunkowo dobrze się trzymała. Z wyjątkiem tej aluzji o makrelach, która była trochę zbyt bezpośrednia.

Ojciec zaczął się śmiać. Nastąpiła chwila milczenia, potem usłyszałam znowu jego głos.

– Anno, kocham cię. Kocham tylko ciebie. Wierzysz mi?

– Nie powtarzaj mi tego tak często. Lęk mnie ogarnia.

– Daj mi rękę.

Miałam ochotę poderwać się i zaprotestować: "Nie, nie teraz, kiedy jesteśmy na górskiej drodze!" Ale byłam trochę pod gazem. Zapach perfum Anny, wiatr od morza igrający moimi włosami, małe zadrażnienie na ramieniu – ślad miłosnych chwil spędzonych z Cyrylem – wszystko to napełniało mnie uczuciem szczęścia, nie chciało mi się nic mówić. Zasypiałam. W tym czasie Elza i biedny Cyryl ładowali się pewnie z trudem na motocykl, który podarowała mu matka z okazji ostatnich urodzin. Nie wiem czemu, wzruszało mnie to do łez. Nasz wóz był taki wygodny, tak dobrze resorowany, jakby stworzony do tego, żeby w nim spać... Spać... Pani Webb na pewno nie może teraz usnąć! Ja w jej wieku też będę płaciła młodym chłopcom za miłość, gdyż miłość jest rzeczą wiecznie żywą, najśłodsza i najmądrzejszą ze wszystkiego na świecie, i cena za nią nie gra roli. Ważne jest tylko, aby nie stać się zgorzkniałą i zazdrosną, jak pani Webb o Elzę i o Annę. Zaczęłam się cichutko śmiać. Anna ułożyła wygodniej moją głowę na swoim ramieniu.

– Śpij! – powiedziała stanowczo.

Usnęłam.

8

Nazajutrz rano czułam się świetnie; obudziłam się prawie wypoczęta, bolał mnie tylko trochę kark. Jak każdego ranka, słońce zalewało moje łóżko. Odrzuciłam kołdrę, zdjęłam bluzkę od pidżamy i wystawiłam nagie plecy

na słońce. Leżąc z policzkiem opartym na zgiętym ramieniu, błdziłam wzrokiem po grubej nici lnianego prześcieradła, to znów po łączącej niepewnie po podłodze musze. Słońce było miłe i ciepłe, miałam uczucie, że przenikało przez skórę aż do kości i zadawało sobie specjalny trud, aby mnie rozgrzać. Postanowiłam spędzić tak całe rano, nie poruszając się.

Wczorajszy wieczór odżywał powoli w mojej pamięci. Powiedziałam Annie, że Cyryl jest moim kochankiem; roześmiałam się na to wspomnienie. Kiedy człowiek jest pijany, to mówi prawdę i nikt mu nie wierzy. Przypomniałam też sobie panią Webb i naszą sprzeczkę. Byłam przyzwyczajona do tego rodzaju kobiet; w tym środowisku i w jej wieku były one przeważnie ohydne, bo nie miały nic do roboty, a chciały korzystać z życia za wszelką cenę. Dzięki spokojowi Anny pani Webb wydała mi się o wiele gorsza i nudniejsza niż zwykle. To było zresztą do przewidzenia. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś spośród przyjaciół ojca mógł długo wytrzymać porównanie z Anną. Aby spędzać przyjemnie wieczory z tymi ludźmi, trzeba było być albo trochę zalanym i lubić sprzeczać się z nimi, albo utrzymywać intymne stosunki z którymś mężem czy którąś żoną. Ojciec załatwiał to o wiele prościej: i on, i Karol Webb lubili kociaki. "Zgadnij, kogo zabieram dziś na kolację i z kim będę spał? Z małą Mars z filmu Saurela. Szedłem do Dupuisa, gdy..." Ojciec śmiał się i klepał go po ramieniu: "Szczęśliwy człowiek: Ona jest prawie tak ładna jak Elza". Były to sztubackie uwagi, ale podobało mi się ożywienie i zapał, z jakim o tym rozprawiali. Tak samo jak dramatyczne zwierzenia Lombarda podczas nie kończących się wieczorów na tarasach kawiarni: "Kochałem tylko ją, Rajmundzie! Przypominasz sobie tę wiosnę, zanim wyjechała?... To właściwie głupio poświęcać całe życie dla jednej kobiety!..." Było w tym coś nieprzyzwoitego, upokarzającego, ale lubiłam serdeczność, z jaką ci dwaj mężczyźni zwracali się jeden drugiemu przy kieliszku wódki.

Przyjaciele Anny chyba nigdy nie mówili o sobie. Na pewno też nie mieli tego rodzaju przygód. Jeśli nawet o nich opowiadali, to pewnie ze śmiechem, bo ich to żenowało. Gotowa byłam oceniać naszych znajomych z tą samą pobłażliwością, z jaką oceniała ich Anna, z tą łaskawą, tak zaraźliwą pobłażliwością... A jednak siebie jako kobietę trzydziestoletnią widziałam bardziej podobną do naszych przyjaciół niż do Anny. Jej milczenie, obojętność, rezerwa przytłoczyłyby mnie. Za piętnaście lat, trochę zblazowana, powiem pochylając się ku jakiemuś czarującemu, również znudzonemu życiu mężczyźnie: "Mój pierwszy kochanek nazywał się Cyryl... Miałam wtedy prawie osiemnaście lat... było gorąco nad morzem..."

Wyobrażałam sobie twarz tego mężczyzny – to mnie bawiło. Miałby takie same małe zmarszczki jak mój ojciec.

Ktoś zapukał do drzwi. Narzuciłam czym prędzej pidżamę i krzyknęłam: "Proszę"! To była Anna. Niosła ostrożnie filiżankę kawy.

– Pomyślałam, że przyda ci się łyk kawy... Czujesz się bardzo źle?

– Bardzo dobrze – odpowiedziałam. – Mam wrażenie, że byłam trochę zalana wczoraj wieczorem.

– Jak zwykle, kiedy się ciebie gdzieś zabiera – roześmiała się. – Ale muszę powiedzieć, że mnie ubawiłaś...

Ten wieczór strasznie się dłużył.

Nie zwracałam już uwagi na słońce ani nawet na smak kawy. Kiedy rozmawiałam z Anną, byłam tym całkowicie pochłonięta, jakbym przestawała istnieć.

A jednak tylko ona zmuszała mnie do zastanawiania się nad sobą i do osądzania samej siebie. Dzięki niej przeżywałam chwile trudne i pełne napięcia.

– Cecylko, czy dobrze się bawisz w towarzystwie ludzi tego rodzaju jak Webb czy Dupuis?

– Uważam, że ich maniery są przeważnie nie do zniesienia, ale oni sami są zabawni.

Anna też obserwowała łażącą po podłodze muchę. Pomyślałam, że mucha jest pewnie chora. Anna miała podłużne i ciężkie powieki.. Jej było łatwo być pobłażliwą.

– Czy nigdy nie zastanawiasz się nad tym, jak dalece ich rozmowy są monotonne i... jak by to powiedzieć... ciężkie. To gadanie o interesach, o dziewczynkach, o zabawach, nigdy cię to nie nudzi?

– Widzi pani, Anno, spędziłam dziesięć lat w klasztorze i brak moralności tych ludzi wciąż jeszcze mnie fascynuje. Nie ośmieliłam się dodać, że to mi się podobało.

– Od dwóch lat – powiedziała Anna. – Zresztą nie chodzi tu o zdolność rozumowania ani o moralność. To jest kwestia wrażliwości, szóstego zmysłu...

Ja go widocznie nie miałam. Czułam wyraźnie, że w tej dziedzinie czegoś mi brakowało.

– Anno – spytałam nagle – czy pani uważa, że jestem inteligentna?

Zaczęła się śmiać, zdziwiona bezpośredniością mego pytania.

– Ależ oczywiście! Dlaczego o to pytasz?

– Gdybym była idiotką, odpowiedziałaby mi pani w ten sam sposób – westchnęłam. – Często odnoszę wrażenie, że pani mnie tak przewyższa...

– To kwestia wieku – odpowiedziała. – Źle by było, gdybym nie była troszkę więcej pewna siebie niż ty. Miałaś za duży wpływ na mnie.

Wybuchnęła śmiechem, a ja poczułam się dotknięta.

– To by nie było tak bardzo źle.

– To by była katastrofa.

Porzuciła nagle żartobliwy ton i spojrzała mi prosto w oczy. Poruszyłam się niespokojnie, zakłopotana. Jeszcze dziś nie mogę się przyzwyczaić do tej manii niektórych ludzi, którzy wpatrują się w tego, z kim mówią, albo podchodzą bardzo blisko do niego, aby być pewnym, że ich słucha. Kiepska to zresztą metoda, bo w takiej sytuacji myślę tylko o tym, jak się wyrwać, wycofać. Bąkam: "tak, tak", przestępuję z nogi na nogę i próbuję wszystkich możliwych manewrów, żeby uciec w drugi koniec pokoju. Ogarnia mnie wściekłość wobec ich natarczywości, niedyskrecji, ich pretensji do wyłączności. Anna na szczęście nie czuła potrzeby owładnięcia mną tak dalece; ograniczyła się do patrzenia mi w oczy. Dlatego coraz trudniej mi było zachować ten lekki, roztargniony ton, który przybierałam rozmawiając z nią.

– Czy wiesz, jak kończą ludzie tacy jak Webb?

"I tacy jak mój ojciec" – pomyślałam w duchu.

– W rynsztoku – odpowiedziałam wesoło.

– Przychodzi wiek, gdy nie są już pociągający ani, jak się to mówi, "w formie". Nie ,ogą już pić i wciąż jeszcze myślą o kobietach. Ale muszą teraz płacić za miłość, godzić się na szereg małych kompromisów, aby uciec przed samotnością. Są nieszczęśliwi, wyszydzeni, i właśnie wtedy stają się sentymentalni i wymagający... Widziałam wielu takich, którzy w ten sposób zupełnie się wykoileili.

– Biedny Webb! – westchnęłam.

Byłam zbита z tropu. Anna miała rację. Taki koniec groził memu ojcu. W każdym razie groziłby mu, gdyby

ona się nim nie zajęła.

– Ty o tym nie myślisz – powiedziała uśmiechając się współczująco. – Ty o przyszłości mało myślisz, prawda? To przywilej młodości.

– Proszę, niech mi pani tak nie wytyka mojej młodości. Wykorzystuję ten atut minimalnie. Nie uważam, żeby młodość dawała mi prawo do jakichś przywilejów albo usprawiedliwiała wszystko. Nie przywiązuję do niej wagi.

– A do czego przywiązujesz wagę? Do twojego spokoju, do twojej niezależności?

Bałam się tego rodzaju rozmów, zwłaszcza z Anną.

– Do niczego – odparłam. – Ja w ogóle nie myślę, przecież pani wie.

– Irytujecie mnie trochę, twój ojciec i ty. Wy nigdy o niczym nie myślicie... Wy się do niczego nie nadajecie... Wy nigdy nic nie wiecie. Podobacie się sobie w tej roli?

– Wcale się sobie nie podobam. Nie lubię siebie samej, nie próbuję tego nawet. Bywają chwile, kiedy pani mnie zmusza do komplikowania sobie życia. Mam to pani niemal za złe.

Anna zaczęła nagle w zamyśleniu nucić jakąś melodię, którą znałam, ale nie mogłam sobie przypomnieć, co to było.

– Co to za piosenka, Anno? To mnie denerwuje...

– Nie wiem – uśmiechała się znowu, trochę zniechęcona. – Zostań w łóżku, odpocznij sobie. Dalszy ciąg moich badań na temat intelektu rodziny będę prowadziła gdzie indziej.

“Naturalnie – myślałam – dla ojca to jest proste”. Słyszałam już, jak mówi: “Ja nie myślę o niczym, bo cię kocham, Anno”. Przy całej jej inteligencji ten argument wydawał się wystarczający. Przeciągnęłam się leniwie i wtuliłam znów głowę w poduszkę. Wbrew temu, co powiedziałam Annie, rozmyślałam dużo. W gruncie rzeczy dramatyzowała z pewnością. Za dwadzieścia pięć lat ojciec będzie miłym sześćdziesięcioletnim mężczyzną o siwych włosach, z dużą skłonnością do whisky i do upiększania swoich wspomnień. Będziemy znów razem wychodzić i wtedy będę mu opowiadała o moich wybrykach, a on będzie mi dawał rady. Zorientowałam się, że wykluczam Annę z tej przyszłości. Nie mogłam, nie byłam w stanie wyobrazić jej sobie z nami. W tym mieszkaniu, raz zupełnie zaniedbanym, to znów przeładowanym kwiatami, stale zatłoczonym kuframi, gdzie panował wieczny bałagan, gdzie wybuchały kłótnie, rozbrzmiewały obce języki, nie mogłam sobie wyobrazić porządku, ciszy, harmonii, które wносиła ze sobą wszędzie Anna jak najcenniejsze dobro. Bardzo się bałam, że zanudzę się na śmierć, chociaż do czasu, gdy kochałam Cyryla i żyłam z nim, o wiele mniej obawiałam się wpływu Anny. Ta miłość wyzwoliła mnie z wielu lęków. Ale bardziej niż wszystkiego bałam się nudy spokoju. Aby osiągnąć spokój wewnętrzny, potrzebowaliśmy z ojcem podniet zewnętrznych. A do tego Anna nie dopuści.

9

Dużo mówię o Annie i o sobie samej, a mało o ojcu. Nie dlatego, by jego rola w tej historii była najmniej ważna, ani dlatego, że poświęcam mu mało uwagi. Nigdy nie kochałam nikogo tak jak jego i ze wszystkich uczuć, które opanowały mnie w tym okresie, te, które odczuwałam dla niego, były najbardziej stałe, najgłębsze, najważniejsze. Za dobrze go znam, aby chętnie o nim mówić, jest mi zbyt bliski. A jednak to ojca właśnie przede

wszystkim powinnam wytłumaczyć, aby jego postępowanie stało się zrozumiałe. Nie był to człowiek próżny ani egoista, ale lekkomyślny, niepoprawnie lekkomyślny. Nie mogę określić go nawet jako mężczyznę niezdolnego do głębokich uczuć albo nieodpowiedzialnego. Miłość, jaką mi okazywał, była poważnym uczuciem, a nie tylko zwykłym stosunkiem ojca do córki. Przez mnie potrafił cierpieć bardziej niż przez kogokolwiek. A ja... Ta rozpacz, jaka mnie ogarnęła któregoś dnia, czyż nie była wywołana jednym jego gestem, którym jakby mnie porzucał, jednym spojrzeniem, którym jakby odwracał się ode mnie... Wszystkie jego namiętności były mniej ważne, ja byłam pierwsza. Czasem, żeby mnie wieczorem odprowadzić do domu, tracił okazje, które Webb nazywał "pięknymi okazjami". Ale nie mogę zaprzeczyć, że poza tym celem jego życia była wyłącznie przyjemność; był niestały i lekkomyślny. Nie zastanawiał się wiele. Szukał dla każdej sprawy fizjologicznego wyjaśnienia, które jego zdaniem było jedynie racjonalne. "Uważasz, że jesteś brzydka? Śpij więcej, pij mniej!" To samo zdarzało się, gdy spotykał kobietę, która budziła w nim gwałtowną namiętność, nie myślał ani o tym, by tę namiętność opanować, ani nie starał się tego uczucia pogłębić. Był trzeźwy i praktyczny, ale przy tym delikatny, wyrozumiały, w gruncie rzeczy bardzo dobry.

Namiętność, jaką odczuwał do Elzy, irytowała go, ale nie tak, jakby można było przypuszczać. Nie mówił sobie: "Zdradzę Annę, to znaczy, że kocham ją już mniej", ale: "Do licha, że też ja mam taką ochotę na tę Elzę! Trzeba to załatwić szybko, bo inaczej będę miał komplikacje z Anną". Co więcej, kochał Annę, podziwiał ją, ona była inna niż te wszystkie frywolne, głupie kobiety, z którymi zadawał się w ostatnich latach. Ona zadowalała zarówno jego próżność, jak uczuciowość i zmysłowość, bo go rozumiała, dawała mu możliwość porównania jej inteligencji i doświadczenia z jego własną inteligencją i doświadczeniem. Teraz, kiedy zdał sobie sprawę z głębi jej uczuć – nie jestem już tego taka pewna! Wydawała mu się idealną kochanką, idealną matką dla mnie. Czy myślał o "idealnej żonie" ze wszystkimi zobowiązaniami, jakie to za sobą pociąga? Nie sądzę. Jestem pewna, że Cyryl i Anna uważali go za prawie nienormalnego, tak jak i mnie. Miał życie pasjonujące i przeżywał je z całą namiętnością, mimo iż wiedział, że było banalne.

Nie myślałam o nim, gdy układałam plan usunięcia Anny z naszej przyszłości. Wiedziałam, że pocieszy się szybko, jak po każdej stracie, i że zerwanie będzie dla niego łatwiejsze niż zorganizowane życie. Prawdziwą klęską byłaby tylko codzienna jednostajność i regularność, tak jak zresztą i dla mnie. Należeliśmy do tej samej czystej, pięknej rasy koczowników. Nie zawsze jednak tak ją określałam, niekiedy wydawała mi się biedną, jałową rasą sybarytów.

Teraz cierpiał, a w każdym razie denerwował się: Elza stała się dla niego symbolem przeszłości, młodości, jego młodości zwłaszcza. Czułam, że umierał z ochoty, aby powiedzieć Annie: "Kochana, daj mi jeden dzień urlopu, abym mógł pójść do tej dziewczyny i przekonać się, że nie jestem jeszcze starym dziadem. Muszę na nowo znużyć się nią, aby odzyskać spokój". Ale nie mógł jej tego powiedzieć, nie dlatego, że Anna była zazdrosna lub z gruntu cnotliwa i nieprzejednana w tym względzie, ale ponieważ zgodziła się żyć z nim pod warunkiem, że skończy z lekkomyślną rozpustą, bo nie jest już uczniakiem, ale mężczyzną, któremu powierzyła swój los i który wobec tego musi zachowywać się odpowiednio, nie jak słaby człowiek ulegający wszystkim swoim zachciankom. Nie można było mieć do Anny pretensji. Jej rozumowanie było zdrowe i normalne, ale to nie przeszkadzało memu ojcu pożądać Elzy, pożądać jej więcej niż czegokolwiek, pożądać jej podwójnie silnie, jak zwykle rzeczy zakazanej.

Wtedy bez wątpienia mogłam jeszcze wszystko załatwić. Wystarczyłoby powiedzieć Elzie, by mu uległa, i pod jakimkolwiek pretekstem zabrać Annę do Nicei lub gdziekolwiek indziej na jedno popołudnie. Po naszym

powrocie ojciec byłby uspokojony i doceniałby na nowo legalną miłość albo raczej to, co miało się stać miłością legalną po przyjeździe do Paryża. Jeszcze jednej rzeczy Anna nie zniosłaby nigdy: być kochanką tak jak inne – na krótko. Jakżeż jej godność, szacunek, który miała dla siebie, utrudniały nam życie!...

Ale nie powiedziałam Elzie, by uległa ojcu, ani Annie, aby pojechała ze mną do Nicei. Chciałam, żeby namiętność ogarnęła ojca jeszcze mocniej i doprowadziła do popełnienia błędu. Nie mogłam znieść, że Anna gardziła naszym dawnym życiem, że lekceważyła to wszystko, co dla ojca i dla mnie było szczęściem. Nie chciałam jej upokarzać, chciałam tylko, aby przyjęła naszą koncepcję życia. Powinna była dowiedzieć się, że ojciec ją zdradził, i ocenić to obiektywnie jako zdradę czysto fizyczną, a nie jako zamach na jej wartość i godność osobistą. Jeżeli pragnęła za wszelką cenę mieć rację, to musiała nam pozwolić nie mieć racji.

Udawałam nawet, że nie dostrzegam udreki ojca. Nie chciałam zwłaszcza, aby mi się zwierzał, zmuszał do tego, abym mu pomogła, rozmawiała z Elzą lub usunęła Annę.

Musiałam się tak zachowywać, jakbym uważała jego miłość do Anny za rzecz świętą, a ją samą za świętą. I muszę powiedzieć, że udawało mi się to bez trudu. Myśl, że mógłby zdradzić Annę i obrazić ją, napędzała mnie przerażeniem, ale i pewnym podziwem.

Tymczasem pędziliśmy szczęśliwe dni. Staralam się o to, by Elza miała jak najwięcej okazji kokietowania ojca. Twarz Anny nie budziła już we mnie wyrzutów sumienia. Czasami wyobrażałam sobie, że pogodzi się z faktem dokonanym i że będziemy prowadzili życie odpowiadające zarówno jej gustom, jak i naszym. Poza tym widywałam często Cyryla i kochaliśmy się po kryjomu. Zapach sosen, szum morza, bliskość jego ciała...! Zaczynały go dręczyć wyrzuty sumienia; rola, którą kazałam mu grać, wydawała mu się nie do zniesienia; godził się na nią tylko dlatego, że przekonałam go, iż to konieczne dla naszej miłości. Wszystko to wymagało wiele dwulicowości i przemilczeń, ale tak mało wysiłków, kłamstwa! (I jak już wspomniałam, tylko ja sama oceniłam moje postępowanie.)

Nie zatrzymuję się dłużej nad tym okresem, gdyż obawiam się, że szukając zbyt głęboko w pamięci, natrafię na wspomnienia, które mnie gnębią. Wystarczy, że pomyślę o szczęśliwym uśmiechu Anny, o jej serdeczności dla mnie, a zaraz przenika mnie ból, ostry ból zapierający oddech. Czuję się tak bliska tego, co nazywamy "wyrzutami sumienia", że muszę się uciec do jakiegoś ruchu: zapalić papierosa, puścić płytę, zatelefonować do któregoś z przyjaciół. Powoli, stopniowo zaczynam myśleć o czym innym. Ale złości mnie, że muszę szukać pomocy w moim braku pamięci i w mojej lekkomyślności, zamiast je zwalczać. Niechętnie to sobie uświadamiam, chociaż jest mi z tym wygodnie.

10

To zabawne, jak los lubi przybierać różne postacie, czasem nawet nędzne i przeciętne, aby nam się objawić. Tego lata przybrał postać Elzy. Można było uważać ją za piękną, a na pewno była pociągająca. I śmiała się tym wyjątkowym, zaraźliwym, pełnym śmiechem, jak potrafią śmiać się tylko ludzie głupi.

Szybko odkryłam, jak działał ów śmiech na ojca. Kazałam Elzie wykorzystywać ten atut jak najczęściej, ilekroć mieliśmy ją "nakryć" z Cyrylem.

– Gdy usłyszysz, że nadchodzę z ojcem – powiedziałam jej – nie mów nic, śmiej się tylko.

Na dźwięk tego śmiechu dostrzegalam w twarzy ojca błysk wściekłości. Rola reżysera nie przestawała mnie pasjonować i udawała mi się zawsze każda inscenizacja. Kiedy patrzyliśmy na Elzę i Cyryla otwarcie manifestujących pozorne, ale tak bardzo prawdopodobne uczucia, które ich łączyły, krew odpływała mi z twarzy tak samo jak ojcu, bledliśmy oboje. Paliło nas pragnienie posiadania, bardziej dręczące niż ból. Cyryl, Cyryl pochylony nad Elzą... Ten obraz rozdzierał mi serce, a przecież ja wszystko sama z nimi ukartowałam, nie przewidując, że tak silnie to potem odczuję. Rzuca się słowa łatwo i to wiąże. Ale gdy widziałam profil Cyryla, jego miękki brązowy kark i głowę pochyloną nad pełną oddania twarzą Elzy, dałabym nie wiem co, żeby wszystko cofnąć. Zapominałam, że to ja sama tego pragnęłam.

Niezależnie od tych wydarzeń życie nasze pełne było ufności Anny, czułości i – jakże bolesne jest użycie tego słowa! – jej szczęścia. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak całkowicie niemal szczęśliwej. Byliśmy tacy egoistyczni, a ona żyła z nami, daleka od naszych namiętności i od moich podłych intryzek. Przewidywałam zresztą, że obojętność i duma nie pozwolą jej prowadzić jakiegokolwiek taktyki, żeby przywiązać ojca mocniej do siebie. Kokieteria jej objawiała się istotnie tylko w tym, że była piękna, inteligentna i czuła. Roztkliwiam się nad nią coraz bardziej. Jest w tym coś przyjemnego i porywającego, jak w marszu wojskowym. Nie można mi tego brać za złe.

Pewnego pięknego poranka pokojówka, bardzo podniecona, przyniosła mi bilecik od Elzy, następującej treści: "Wszystko się układa, przyjdź!" Miałam wrażenie, że zbliża się katastrofa; nie znoszę momentów decydujących. Odnalazłam Elzę na plaży, miała minę triumfującą.

– Przed godziną widziałam się z twoim ojcem, nareszcie!

– I co ci powiedział?

– Powiedział, że strasznie żałuje tego, co się stało, że zachował się jak cham. To przecież prawda, no nie?

Wydawało mi się, że powinnam przytaknąć.

– Potem prawil mi komplementy, tak jak tylko on potrafi... Znasz ten jego ton trochę obojętny, ten stłumiony głos, jak gdyby cierpiał mówiąc mi to wszystko... ten ton...

Przerwałam te idylliczne wspomnienia.

– O co mu w końcu chodziło?

– No, właściwie o nic!... To znaczy, owszem, prosił, żebym poszła z nim na herbatę, aby mu udowodnić, że nie jestem zawzięta, że mam szerokie, postępowe poglądy, i tak dalej!

Pojęcia mego ojca na temat postępowych poglądów młodych rudych kociaków bawiły mnie.

– Dlaczego się śmiejesz? Czy mam tam z nim iść?

Omam nie odpowiedziałam jej, że to mnie nic nie obchodzi. Ale zdałam sobie sprawę, że uważała, iż ja jestem odpowiedzialna za to, czy jej starania będą uwieńczone sukcesem. Tak czy owak, zirytowało mnie to. Czułam się jak osaczona.

– Nie wiem, Elzo, to zależy od ciebie. Nie pytaj mnie stale, co powinnaś robić. Można by pomyśleć, że to ja ciebie namawiam do...

– Ależ to ty... – odparła – to przecież dzięki tobie... Jej pełen uwielbienia ton przeraził mnie nagle.

– Idź, jeśli chcesz, ale błagam cię, nie mów więcej o tym!

– Ale... ale trzeba go przecież uwolnić od tej kobiety, Cecyljo!

Uciekłam. Niech ojciec robi, co chce, niech Anna sobie sama radzi. Zresztą miałam randkę z Cyrylem.

Wydawało mi się, że tylko miłość uwolni mnie od tego dręczącego uczucia strachu.

Cyryl wziął mnie bez słowa w ramiona i poprowadził. Z nim wszystko stawało się łatwe, nasycone namiętnością i rozkoszą. Później, gdy leżałam przy nim, przytulona do jego opalonej piersi ociekającej potem, wyczerpana, rozbita, wyznałam mu, że czuję do siebie wstręt. Powiedziałam to śmiejąc się, bo myślałam tak naprawdę, z jakąś przyjemną rezygnacją, nie sprawiało mi to przykrości. Cyryl nie potraktował mnie poważnie.

– Mniejsza o to. Kocham cię tak bardzo, że zmuszę cię, żebyś myślała tak jak ja. Kocham cię, kocham cię tak bardzo...

Słowa te dźwięczały mi w uszach bez przerwy podczas obiadu: “Kocham cię, kocham cię tak bardzo...” I dlatego mimo wysiłków nie mogę sobie dobrze tych chwil przypomnieć. Anna miała fiołkową suknię, jak cienie pod jej oczami, jak jej oczy. Ojciec śmiał się z widocznym odprężeniem: sprawy przybierały korzystny dla niego obrót. Przy deserze oznajmił, że po południu ma coś do załatwienia na wsi. Uśmiechnęłam się w duchu. Byłam zmęczona, zdałam się na los. Miałam tylko jedno pragnienie: wykapać się.

O czwartej zeszałam na plażę. Widziałam ojca na tarasie, w chwili gdy wybierał się na wieś. Nie powiedziałam mu nic, nie uprzedziłam nawet, żeby był ostrożny.

Woda była miękka i ciepła. Anna została w domu, aby pracować nad projektami dla pracowni. Rysowała modele w swoim pokoju, a tymczasem ojciec zalecał się do Elzy. Po dwóch godzinach, gdy słońce przestało grzać, weszłam z powrotem na taras i siadłam na fotelu z gazetą w rękę.

W tym momencie zobaczyłam Annę. Biegła od strony lasu. Biegła ciężko, niezgrabnie, przyciskając łokieć do ciała. Doznałam nagle przykrego wrażenia, że to biegnie stara kobieta i że zaraz upadnie. Nie poruszyłam się, osłupiała. Anna znikła za rogiem domu, kierując się w stronę garażu. Wtedy błyskawicznie zrozumiałam wszystko i także puściłam się biegiem, aby ją dogonić.

Siedziała już w samochodzie, zapuszczała silnik. Dopadłam wozu i uczepliłam się drzwiczek.

– Anno – błagałam – Anno, niech pani nie odjeżdża, to pomyłka, to moja wina, ja pani wszystko wytłumaczę...

Nie słuchała mnie, nie patrzyła na mnie, pochylona nad hamulcem.

– Anno, potrzebujemy ciebie!

Wyprostowała się, twarz jej wykrzywił grymas bólu. Płakała, i wtedy zrozumiałam nagle, że chciałam zniszczyć żywego, czującego człowieka, a nie bezduszną istotę. Ona też była chyba kiedyś małą, trochę skrytą dziewczynką, potem podlotkiem, potem kobietą. Teraz miała czterdzieści lat, była samotna, kochała mężczyznę, spodziewała się, że będzie z nim szczęśliwa dziesięć, może dwadzieścia lat. A ja... Ta twarz, ta twarz to było moje dzieło... Zupełnie zdruzgotana, drżąc cała, czepiałam się drzwiczek samochodu.

– Wam nikt nie jest potrzebny – szepnęła. – Ani tobie, ani jemu.

Motor warczał. Byłam w rozpacz, nie mogła tak odjechać!

– Błagam panią, niech mi pani przebaczy!...

– Tobie? Co ja mam tobie przebaczyć?

Łzy płynęły nieprzerwanie po jej twarzy. Nie zdawała sobie chyba z tego sprawy.

– Moja mała, biedna dziewczynko!... – powiedziała.

Pogładziła mnie po policzku i odjechała. Widziałam, jak samochód zniknął za rogiem domu. Byłam

wstrząśnięta, wzburzona... Wszystko stało się tak szybko! I ta jej twarz, ta twarz...

Usłyszałam za sobą kroki: to był ojciec. Zdażył wytrzeć ślady szminki Elzy z ust, strząsnąć z ubrania sosnowe igły. Odwróciłam się i rzuciłam mu w twarz: -

– Świnia! Świnia!

Zaczęłam szlochać.

– Ale co się stało? Czy Anna?... Cecylko, powiedz mi, Cecylko...

11

Spotkaliśmy się dopiero przy kolacji; oboje baliśmy się tego sam na sam tak nagle odzyskanego. Nie chciało nam się jeść. Wiedzieliśmy oboje, że Anna nie wróci do nas. Jeśli o mnie idzie, nie czułam się na siłach znosić dłużej wspomnienia jej wzburzonej twarzy ani myśli o jej rozpaczach i o własnej odpowiedzialności. Wyleciały mi już z pamięci moje cierpliwe zabiegi i dokładnie ułożony plan. Czułam się zupełnie wykończona, wytrącona z równowagi i w twarzy ojca czytałam to samo.

– Czy myślisz – zapytał – że porzuciła nas na długo?

– Na pewno pojechała do Paryża – odpowiedziałam.

– Paryż... – szepnął marząco ojciec.

– Nie zobaczymy jej już może nigdy...

Popatrzał na mnie bezradnie i wziął mnie za rękę ponad stołem.

– Ty chyba masz mi to bardzo za złe... Nie wiem, co mnie napadło. Gdy wracałem z Elzą przez las, ona... I... dość, że pocałowałem ją, a Anna musiała nadejść w tej chwili i...

Nie słuchałam go. Postacie Elzy i ojca, splecione w cieniu sosen, wydawały mi się groteskowe i nierealne. Nie mogłam ich sobie uzmysłowić: jedyną rzeczą okrutnie żywą w tym dniu była twarz Anny, ostatnie wspomnienie tej twarzy napiętnowanej bólem, zdradzonej. Wzięłam papierosa z pudełka ojca i zapaliłam go. Jeszcze jedna rzecz, której Anna nie znosiła: palenia podczas posiłków. Uśmiechnęłam się do ojca.

– Ja dobrze rozumiem... to nie twoja wina. Chwila szaleństwa, jak się to mówi. Ale Anna musi nam wybaczyć, to znaczy tobie wybaczyć.

– Co zrobimy? – spytał.

Wyglądał bardzo źle, współczułam mu i sobie także. Dlaczego Anna opuściła nas w ten sposób, dlaczego pozwoliła nam tak cierpieć z powodu jednego wybryku? Czy nie miała żadnych obowiązków wobec nas?

– Napiszemy do niej – powiedziałam – i poprosimy ją, by nam wybaczyła.

– Genialna myśl! – wykrzyknął ojciec.

Znalazł wreszcie sposób, aby przerwać to beczynne oczekiwanie i uciec od trapiących nas wyrzutów sumienia.

Nie skończywszy kolacji odsunęliśmy obrus i nakrycia. Ojciec przyniósł dużą lampę, pióro, kałamarz i swój papier listowy. Zasiadliśmy naprzeciwko siebie, niemal uśmiechnięci, tak powrót Anny dzięki tej inscenizacji wydawał nam się prawdopodobny. Za oknem nietoperz zakreślał miękkim lotem koła. Ojciec pochylił głowę i zaczął

pisać:

Ogarnia mnie nieznośne uczucie obrzydzenia do nas samych, gdy myślę o tych listach pełnych najlepszych uczuć, które napisaliśmy tego wieczoru do Anny. Siedzieliśmy oboje pod lampą, jak dwaj pilni i niezdolni uczniowie, i pracowaliśmy w milczeniu nad tym niewykonalnym zadaniem: odzyskania Anny. Stworzyliśmy jednak dwa arcydzieła w swoim rodzaju, pełne czułości i skruchy, w których usprawiedliwialiśmy się w najbardziej przekonujący sposób. Gdyśmy je kończyli, byłam prawie pewna, że Anna nie będzie się mogła oprzeć i że pojednanie jest bliskie. Widziałam już scenę przebaczenia i nas zawstydzonych i ubawionych równocześnie... Odbędzie się to w Paryżu, w naszym salonie, Anna wejdzie i...

Zadzwonił telefon. Była dziesiąta wieczór. Wymieniliśmy spojrzenia zdziwione, a potem pełne nadziei: to Anna telefonuje, że nam przebacza, że wraca. Ojciec skoczył do aparatu i krzyknął: "Halo!" wesołym głosem. Potem mówił już tylko: "Tak, tak, gdzie? Tak" – ledwie dosłyszalnym szeptem. Wstałam, narastał we mnie strach. Patrzałam na ojca, na jego rękę, którą machinalnym gestem przesuwiał po twarzy. Wreszcie wolno położył słuchawkę i odwrócił się do mnie.

– Anna miała wypadek – powiedział. – Na drodze, w górach Esterel. Trwało długo, nim zdobyli jej adres. Telefonowali do Paryża i tam dostali nasz numer telefonu tutaj.

Rzucił słowa ciągle tak samo bezbarwnym głosem, a ja nie miałam odwagi mu przerwać.

– To się stało w najniebezpieczniejszym miejscu. Było tam już podobno wiele wypadków. Wóz stoczył się z wysokości pięćdziesięciu metrów. Byłby cud, gdyby z tego wyszła cało...

Resztę tej nocy wspominam jak jakiś koszmar. Droga, która wyłaniała się przed nami w świetle reflektorów, nieruchoma twarz ojca, drzwi szpitala... Ojciec nie chciał, żebym ją jeszcze raz zobaczyła. Siedziałam na ławeczce w poczekalni, wpatrując się w litografię przedstawiającą Wenecję. Nie myślałam o niczym. Jedna z pielęgniarek opowiedziała mi, że od początku lata to już szósty wypadek w tym miejscu. Ojciec wciąż nie wracał.

Pomyślałam wtedy, że Anna przez swoją śmierć okazała raz jeszcze wyższość nad nami. Gdyby któreś z nas popełniło samobójstwo – zakładając, że mielibyśmy na to dość odwagi – wpakowalibyśmy sobie kulę w łeb zostawiwszy list wyjaśniający, aby na zawsze zamącić spokój i sen tym, którzy nas do tego doprowadzili. Ale Anna zrobiła nam bezcenny upominek pozwalając wierzyć, że to był wypadek: niebezpieczne miejsce, wywrotność jej wozu. Przyjmujemy ten upominek, i to bardzo niedługo, jesteśmy przecież słabi. Zresztą, jeśli mówię dziś o samobójstwie, to jest to z mojej strony romantyzm. Czy można się zabić dla takich ludzi jak ojciec i ja, ludzi, którzy nikogo nie potrzebują, ani żywych, ani umarłych? Z ojcem nie mówiliśmy nigdy o tym inaczej niż o wypadku.

Nazajutrz wróciliśmy do domu około trzeciej po południu. Elza i Cyryl oczekiwali nas siedząc na schodach. Wyrosli przed nami jak dwie blade, zapomniane postacie z dramatu. Żadne z nich nie znało Anny, żadne z nich nie kochało jej. Stali tu przed nami ze swymi małymi miłosnymi historiami, podwójnie ponętni w swej urodzie i zakłopotaniu. Cyryl zrobił krok ku mnie i położył mi rękę na ramieniu. Spojrzałam na niego: nie kochałam go nigdy. Wydawał mi się miły i pociągający. Kochałam przyjemność, którą mi dawał, ale nie potrzebowałam go. Zaraz odjadę i wszystko opuszczę, ten dom, tego chłopca i to lato. Ojciec stał przy mnie; wziął mnie za rękę i weszliśmy do domu.

Tam był zakiet Anny, jej kwiaty, jej pokój, jej perfumy. Ojciec spuścił żaluzje, wyjął z lodówki butelkę i dwa kieliszki. To było jedyne lekarstwo dostępne dla nas w tej chwili. Nasze listy z prośbą o przebaczenie wały się na stole. Odsunęłam je ręką, sfrunęły na podłogę. Ojciec, który właśnie szedł ku mnie z pełnym kieliszkiem, zawahał się

i obszedł je, aby na nie nie stąpić. Widziałam w tym jakiś symbol, ale wszystko to było w złym guście. Wzięłam kieliszek w obie ręce i wychyliłam jednym haustem. Pokój pogrążony był w półmroku, widziałam cień ojca na tle okna. Fale biły o piasek.

12

Żałobne stroje, tłum ciekawych, olśniewające słońce... pogrzeb Anny w Paryżu. Oboje z ojcem ściskaliśmy ręce starych kuzynek Anny. Obserwowałam je z ciekawością; na pewno przychodziłyby do nas raz w roku na herbatę. Na ojca spoglądano ze współczuciem. Webb musiał opowiadać o zamierzonym małżeństwie. Dostrzegłam Cyryla, który szukał mnie przy wyjściu. Nie chciałam się z nim spotkać. Uraza, którą czułam do niego, była zupełnie nieusprawiedliwiona, ale nie mogłam jej zwalczyć... Wokół nas ludzie ubolewali nad tym głupim i strasznym wypadkiem, a ponieważ miałam jeszcze wątpliwości, czy to był naprawdę wypadek, słuchałam tego z przyjemnością. W samochodzie, gdyśmy wracali, ojciec ścisnął mocno moją rękę w swojej. Myślałam: "Ty masz już tylko mnie, a ja mam tylko ciebie, jesteśmy sami i nieszczęśliwi", i po raz pierwszy płakałam. To były przyjemne łzy; nie przypominały niczym tej pustki, tej strasznej pustki, którą odczułam tam w szpitalu patrząc na obrazek Wenecji. Ojciec bez słowa podał mi swoją chustkę; na twarzy jego malowało się skrajne wyczerpanie.

Przez miesiąc żyliśmy jak wdowiec i sierota, jadaliśmy razem obiady, kolacje, nie bywaliśmy nigdzie. Czasem zamienialiśmy parę słów o Annie. "Pamiętasz ten dzień, kiedy..." Mówiliśmy o niej odwracając oczy, ostrożnie, jakby w obawie, że to będzie bolesne lub że coś się w którymś z nas załamie i że padną wtedy słowa nie do naprawienia. Ta przezorność, ta wzajemna delikatność miały ten dobry skutek, że już wkrótce mogliśmy mówić o Annie normalnym tonem. Wspominaliśmy ją jak drogą istotę, z którą bylibyśmy szczęśliwi, gdyby Bóg nie powołał jej do siebie. Piszę "Bóg" zamiast "wypadek". Ale myśmy nie wierzyli w Boga, uważaliśmy się i tak za szczęśliwych, że w tych warunkach mogliśmy wierzyć w wypadek.

A potem, pewnego dnia, poznałam, u koleżanki jednego z jej kuzynów, który mi się podobał i któremu ja się spodobałam. Przez tydzień spotykałam się z nim często i nierozważnie, jak bywa zwykle w początkach miłości. Ojciec, nie stworzony do samotności, robił to samo z młodą i dość ambitną kobietą. Życie zaczęło płynąć znów tak jak przedtem, co było do przewidzenia. Gdy spotykaliśmy się z ojcem w domu, śmieliśmy się i opowiadali sobie o naszych sukcesach. Prawdopodobnie domyśla się, że moje stosunki z Filipem nie są platoniczne, a ja wiem, że jego nowa kochanka drogo go kosztuje. Ale jesteśmy szczęśliwi. Zima ma się ku końcowi. Nie wynajmiemy już tej samej willi, znajdziemy inną, koło Juan-les-Pins.

Tylko o świcie, gdy leżę w łóżku i słyszę szum wozów sunących ulicami Paryża, zdradza mnie czasami moja pamięć: wraca lato i wszystkie wspomnienia. Anno, Anno! Powtarzam to imię długo, cichutko, w ciemności. Wtedy wzbiera we mnie to uczucie, które nazwałam smutkiem. Zamykam oczy i przywołuję je słowami: "Witaj, smutku!"